

# KOCHANKOWIE Z TERUELU.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ

JUANA EUGENIUSZA HARTZENBUSCHA

PRZEŁOŻYŁ Z HISZPAŃSKIEGO

KAROL E.

Odbitka z Tygodnika Mód.

WARSZAWA

W Drukarni Karola Kowalewskiego Ulica Królewska N. 1066½

—  
1867.

LP II 6 c

39947

III.  
Dr. Bernacki Lwów 1934  
dar.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 9 Ноября 1867 года



# KOCHANKOWIE Z TERUELU.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ

Juana Eugeniusza Hartzenbuscha.

PRZEŁOŻYŁ Z HISZPAŃSKIEGO

K. E.



odając przekład dramatu, winienem zaznaczyć czytelnika z osobą autora, i z tem co na polu przekładów z hiszpańskiego, w ogóle u nas działo się.

Biografia *Hartzenbuscha* jest krótka. Urodził się 6 Września 1806 roku w Madrycie z matki Hiszpanki a ojca Niemca stolarza z Szwarzdorf pod Kolonią. Mając lat dwa, utracił matkę, wówczas ojciec porzucił Madryt. Młody Juan Eugeniusz wrócił do stolicy w r. 1815 w celu oddania się stanowi duchownemu, w kolegium Jezuitów Św. Izidora. Nie było to powołaniem jego, co widząc ojciec pozwolił mu poświęcić się malarstwu, a zaraem kazał go uczyć po francuzku. Ten kierunek nadany nauce, wtajemniczył go w piękności klasycyzmu francuzkiej literatury. Zdarzyło się wówczas, że książka która na całe stulecie zwichnęła polot gienjuszu scenicznego w Hiszpanii, — spowodowała obecnie ocknięcie się genjuszu tego w *Hartzenbuschu*.

Dorwał się bowiem w r. 1821 grubej księgi księdzia *Lozady* o sztuce rymotwórczej, księgi która romantyzmowi niegdyś zadawała ciosy. Z niej zaczerpnął prawidła tworzenia owych nieprzeliczonych form poetycznych, któremi odznacza się poezya hiszpańska. Z zapalem rzucił się do pisania *romanzów, silvas, i liras*. W owym też czasie był pierwszy raz na widowisku scenicznym, które tak zapaliło imaginacją jego, że odtąd wyłącznie gromadził utwory teatralne i te studyował.

Na zlej był początkowo drodze, tłumaczył bowiem prozę francuzką, nieprzeczuwając, że liryzm dawnego dramatu ojczystego, oczekuje wskrzesiciela. Przyjaciół zwrócił jego uwagę na ten kierunek. Zaszła atoli zmiana w jego towarzyskich stosunkach. *Pro-nunciamento* z r. 1820 pozbawiła ojca jego całego

mienia. Prześladowany o liberalizm, stary Hartzenbusch popadł w rodzaj niedołęztwa i obłąkania. Młody Eugeniusz porzucił pracę nie produkcyjną, bo szło o utrzymanie ojca, który zmarł w r. 1830.

Chwyciwszy za hebel niezapomniał o scenie. Tłumaczył komedje i dramy z włoskiego i francuzkiego języka, lub zastosowywał dawne komedje hiszpańskie do potrzeb sceny dzisiejszej. Dwie takie przestosowane sztuki, zyskały powodzenie. Nowe *pronuncjamenta* pozbawiły go resztę mienia. Porzucił stolarstwo, oddał się stenografii. W r. 1835 został stenografem przy *Gazecie Madryckiej*. Wówczas to napisał pół wierszem pół prozą *Kochankowie z Turuelu*, opracowawszy w nim znaną w kraju legendę.

Sztuka ta zyskała niezwykajne powodzenie na scenie hiszpańskiej. Dwie edycje roku 1836 i 1838 rozeszły się odrazu. W Niemczech ukazała się r. 1846 z słownikiem objaśniającym. Krytycy przyznali mu, iż jest jednym z pisarzy najlepiej władających językiem, który poprawił ogólnie, a dramatowi nadał formę tegoczesną, odniósłszy go pomimo tego, do najświetniejszych tradycji przeszłości.

Powodzenie to skłoniło go iż wyłącznie odtąd pracował na polu literackim. Otrzymałszy posadę sekretarza biblioteki królewskiej w Madrycie a w r. 1852 mianowany prezydującym rady teatrów, mógł swobodnie poświęcić się umiłowanemu zawodowi.

Zywa imaginacja, siła i energia wyrażen i wiersz harmonijny, są cechami prac jego. Dla tych zalet, wszystkie prace jego miały powodzenie. Napisał zaś sztuki: *Donia Mencja*, drama 1838 r. *Laredoma encantada* komedja 1839. *La Visionaria* komedja 1840. *Alfonso e Casto* drama 1841. *Poimero yo* drama 1842. *Honorio* drama 1842. *La Coja y et encogido* komedja 1843. *La madre de Pelayo* komedja 1843. Wydał nadto r. 1843 zbiór swoich poezyi tudzież edycje krytyczne prac scenicznych *Tirso de Molina* r. 1842 w 12-stu tomach *Kalderona* r. 1851 w 4-ch tomach i *Ruiz Alarcona* r. 1852.

Hartzenbusch wskrzesił własnymi utworami zapomnianą przeszłość dramatu ojczystego, wskrzesił ją zarazem krytycznem opracowaniem prac poprzedników. Należy on do tego młodego zastępu pracowników, którzy stracili z piedestału francuzki klasycyzm, którego ostatnim a potężnym wyobraźnielcem, aż do wystąpienia Hartzenbuscha, był *Gil y Zaratę*, autor *Grozmana*, *Blanki* i *Rozamundy*. Samobójca z miłości ku królowej *José di Larra* († 1837 r.) autor komedyi *Preca ze sklepem* i innych, — obfity dramatyk *Breton Heweros* autor dramatu: *Umrzeć a ujrzyć* i kilkuset innych, *Saavedra* książę *de Rivas*, *Zorilla* i *Espronceda* dwaj poeci niezrównanego zapasu, tworzą ów poczet pisarzy, którzy otrząsnęli się z starego naśladownictwa francuzczyzny.

Im zawdzięcza hiszpańska literatura, że dopiero w tem stuleciu nabiera tego życia i oryginalności, które ją cechowały w XVI. stuleciu.

Cały ten proces odrodzenia poezji, odbywa się w ostatnich dziesiątkach lat. Gdyby nie to, literatura hiszpańska byłaby może zapomniana w dziejach dzisiejszego piśmiennictwa i byłaby tylko cenioną jako zabytek archeologiczny.

Naśladownictwo gubiło ją, nie więc dziwnego że pomimo wyczerpujących prac Schaka, który zapełnił trzy grube tomy rozbiorem setki znakomitych dramatyków hiszpańskich, świat literacki w Europie, znał zaledwie imiona *Cervantessa*, *Kalderona* i *Neggi*, jako gwiazdy przewodnie w tej ogromnej plejadzie poetów scenicznych, którzy wywiedli na scenę hiszpańską setkę tysięcy: *autos sacramentales*, komedji *de capa y spada*, *de figuron* — śpiewanych *Loas*, *entremeses*, baletniczych *Saynetes* lub nabożnych *vidas de Santos*.

Rzecz to bardzo naturalna, bo lubo mieli Hiszpanie świetne i zdumiewające obfitością talentów, stolecia — mieli i lata nieurodzaju i zupełnego upadku, tak dalece, że sami zapomnieli o przeszłości i o tradycji.

Kiedy w 17 i 18 stuleciu Francuzcy dramatycy pierwszorzędni, okradali żywcem dramat hiszpański stulecia szesnastego, ówczas w Hiszpanii pojawili się krytycy rzucający anatema na przyszłość najświetniejszą, a narzucający systematyczność francuzkich klasyków.

*Ignacio de Luzan*, wydał w roku 1737 *sztukę rymotwórczą* o 500 stronnicach folio, w której potępił *Lopego* i *Kalderona* a podniósł szkołę francuzką.

Krytyka ta wywołała smutne następstwa: Poeci sceniczni rzucili się do naśladownictwa sceny francuzkiej, zrywając z tradycją przodków. Był ich ogromny poczet były talenta znamienite jak np. *Leandro Fernandez Moratin* († 1828) przezwany *Molierem* hiszpańskim, *Martinez de la Rosa* minister i inni.

Daremnie *Wicenty Garcia de la Huerta* († 1797 r.) kruszył kopie w obronie romantyzmu, i walczył przeciw *Luzanowi* dowodząc: iż można pisać w guście *Kalderona* a uniknąć jego błędów.

Jego tragedia *Rachel* przed jej wydrukowaniem, rozeszła się w dwu tysiącach odpisów do Ameryki, mimo tego nie zwyciężyła zwolenników tragedji francuzkiej.

Pomimo, że Ferdynand VI budując w r. 1745 i 1747 dwa stałe teatry w Madrycie, scenę przeniósł z placu pod dach — nie podniósł jej, bo smak się popsuł.

*Semiramida* występowała po dawnemu, w papilotach, robronie, w rękawach z potrzebami i stanika, *Juliusz Cezar* w peruce z pakuł i wieńcem laurowym, w kapeluszu z piórami pod lewą pachą, w kamizeli, trykotach, i szpada, *Arystoteles* jak francuzki *l'abbé* z peruką i pastorałem. To byli bohaterowie tragedji, królujący na miejscu fantastycznych niegdy bohaterów dramatu. Owe zepsucie formy i treści trwało do najświeższych chwil, nie więc dziwnego, że jeszcze w r. 1838 znamienici artyści hiszpańscy grywa-

jąc gościnnie w Marsylii, wystawili *Szekspira* w mundurze, przy złotych epoletach.

Krytyka obadziła się bardzo późno, oczyszczając scenę z naleciałości francuzkich, przeobraziła ją dopiero w dzisiejszych czasach. Naturalnem więc jest, iż gdy w kraju własnym teatr dawny nie uzyskał uznania przez całe stulecie, — nie uzyskał go i po za granicą półwyspu Iberyjskiego.

Kiedy dopiero Hiszpanie wejrzeli ściślej w siebie, i obrachowali się ze skarbami przeszłości, kiedy *Fernandez Moratin* rozświecił ścieżki któremi przedzierali się dramatycy ojczyści, zanim zakończyli świetne postępy swoje wydaniem *Kalderona*, wówczas i postronni pisarze obejrzeni się na ich zasługi (*Selegel*, *Clarus* 1846. *Schack* 1846. *Ticknor* 1849 i inni).

U nas nie widziano owego zwrotu ku tej skarbnicy poezji: nie mamy wyobrażenia nawet o bogactwie fantazyi i o potędze gry namiętności, jaką rozwijają pisarze sceniczni hiszpańscy. Chwali się *Lope de Vega*, że więcej stu dzieł scenicznych pisał w dwudziestu czterech godzinach, a pomimo tego wyznania, nie widzimy w nich zużycia myśli, zużycia kombinacji scenicznej, i owego obracania się w kółku częściej frazeologii, które są cechą pisarzy rzemieślniczych, tworzących z dnia na dzień, na zawołanie, dla zarobku, fabrykantów produkujących wiersze w miarę i dla obrachowanej napróżd zapłaty.

Zachwycający przekład *Słowackiego Juliusza* tragedji *Kalderona*, *Książę niezłomny*, daje nam próbkę tego, co moglibyśmy pozyskać dla naszej literatury, gdybyśmy zajęli się poznaniem literatury hiszpańskiej, nie w niemieckich lub francuzkich przekładach, ale w oryginałach.

Wiemy zaledwie o kilku pisarzach którzy zaznajomili nas ze sceną hiszpańską. Nie wszystko doszło wiedzy publicznej.

Roman *Osten Sacken* zmarły r. 1825 w Heidelbergu, tłumaczył *Kalderona* z oryginału, ale rękopisma jego zaginęły.

*Kamiński Jan Nepom.* który nas pierwszy zaznajomił z Szyllerem, zaznajomił i ze sceną hiszpańską, lubo tłumaczył z niemieckiego. Jego przekład *Kalderona*: „*Lekarz swojego honoru*”, pomimo że stracił na przerobieniu, świeci jeszcze polskami gienjuszem autora, i pokazuje czém jest dramat ten, w obec dzisiejszej produkcyi takiej jak: *Hernani* utworu równie znamienitego poety *Wiktora Hugo* — poety który nie jeden skarb swój fantazyi zawdzięcza kształceniu na wzorach hiszpańskich.

*Kamiński* ma tę zasługę, iż hiszpańskie dramata wprowadzał na scenę polską. Nie utrzymały się na niej dla tego, że nie były przekładem, lecz przerobieniem przeróbki niemieckiej. Taką była komedya *Augustyna Moreto* „*donna Dianna* czyli *duma i miłość*” (grana w r. 1825, 1827 i 1829, trzy razy) mimo że sztukę tę naśladowali *Molier* (księżna Elidy) *Gozzi* i *Vest*, i choć pisarza tego naśladowali inni pisarze francuzcy, włoscy i angielscy.

Jeszcze mniej powodzenia miały, przedstawione we Lwowie sztuki *Kalderona*: *Zawilość przypadków* i *pomyłek*, komedya w 3-ach aktach grana 1828 r. i *Władysław królewicz polski czyli życie snem*,

dramat wierszem grany r. 1826 a z którego dramatu ustęp drukował *Chłędowski A. T.* (w Rozmait. Lwows. 1827 r.) tudzież *Berwiński* (1844 r.) Również *Kamiński* przedstawił swój przekład z *Kalderona. Otwarta tajemnica* grane roku 1825. Podany w wyjątku (w Rozmait. Lwows. 1824 r.) a szeroko rozebrany (tamże) r. 1826.

Prace te zaginęły zapewne w rękopismach. Podobnie podali fragmenta z *Kalderona: Dembowski* (*Echo*) (Tygodn. liter. 1840 r.) *Wł. Wolski* (z Dramatu: *Gomez Arias*, w *Bibl. Warsz.* 1844 r.); *Leon Rettel* z *Wilhelma de Castro*, z tragedji *Cyd* którą okradał bez litości *Kornel*, (Przekład jednej sceny jest w *Dzienniku Domowym* 1842 r.)

Całkowite drukowane przekłady dramatów mamy nader nieliczne jakoto: *Lopego de Vega „Don Felix de Mendosa* kom. w akt. przekład z tłumaczenia francuzkiego.

Wilno 1800 r. — *Kalderona: „Kochankowie nieba“* tłumaczenie Kar. Balińskiego Paryż 1858. (rozbiór w *Dzienniku lite.* 1858 i w dodatku mies. Czas 1858 r.) tegoż *Czarnoksiężnik* dramat w 3-ach aktach, przekład *Stan. Budzińskiego* (w *Bibl. Warszawskiej* 1861 IV).

Łatwość wyuczenia języków hiszpańskiego i portugalskiego, powinnaby zachęcić poetów naszych do zasilania imaginacyi z nieznanych nam dotąd źródeł. *Pruszkowa Seweryna* ślicznemi przekładami w *Bibl. Warsz.* umieszczonemi, czyni początek, ale to jeszcze za mało. Świetny *Espronceda* lub ognisty *Zorilla*, dostarczyliby pożywniejszego pokarmu niżeli *Heine*, *Legowé*, *Angier*, lub *Musset*. Więc tam znaleźlibyśmy oryginalności, choćby już dla tego samego, że nikt tam nie był przed nami, żyłszy nie szli niewolniczo za kierunkiem przez cały poczet tłumaczy wyślubionym.

Nie pierwszy poruszam tę myśl przyswajania poezyi naszej, skarbów lirycznych i scenicznych Hiszpanii. Pisał o tem gruntnowie i z zapalem, zbieracz pieśni ludowych *Wacław z Oleska Zaleski*, wskazał on, dla czego zaleca formę i osnowę dramatu hiszpańskiego do naśladowania, sam nawet próbował przynajmniej co do formy, iść za temi wzorami w dramacie swym *Justyna*, drukowanym częściowo w *Rozmaitościach Lwowskich* (1824 r.)

Scharakteryzował on dramat hiszpański i jego oryginalność. „Uważając (powiada) poezją dramatyczną hiszpańską w szczególności, najprzód zazdrościć jej trzeba, iż się wykształciła wolna od obcych wpływów, nie ścięta złem zrozumieniem starożytnych prawideł, nie sprowadzona z dobrej drogi ślepe naśladowaniem krzywych wzorów. Wyłęga się z powiastek ludu, stosując się do wiary w Boga, w miłość, w powinność rycerską i honor. Miłość i honor są tłem prawie wszystkich dramatów hiszpańskich; dla tego do dobrego ich zrozumienia, trzeba mieć należyte wyobrażenie o tej wrzającej miłości południowego z kipiącą krwią narodu, której niewidzialną towarzyszką jest podejrzliwa zazdrość, i trzeba należycie pojąć ich wyobrażenie o honorze, wiecznym ustalone przesądem. Honor był duszą Hiszpana. Z tych to przyczyn, poezya hiszpańska, jest tak oryginalną i do żadnej innnej nie podobną“.

Tak przemawiając *Zaleski*, zachęcał nie jednokrotnie do porzucenia naśladownictwa francuzczyzny (*Kalderona* życie i pisma w *Rozma.* Lwows. 1827 r.) ruch też był w owym czasie we Lwowie dość znaczący, za przewodem *Kamińskiego*. Umieszczano w pismach tamtejszych powieści, poezye i krytyki o poezyi i dramie hiszpańskiej (w *Rozm.* Lwows. 1820. *Jaszowski S.* dzieje poezyi hiszpańskiej — 1820 powieść *H. Pereza Montalwana* — 1827 przekład *N. B. poezyi Człowiek* — r. 1836 *Jgn. Kułakowskiego* *Zburzenie Numancyi* — 1840 r. powieść z komedji *Kalderona* i. t. p. — w *Pamiętniku narodowym* 1827 r. o *Kalderonie* i. t. p.)

Zainteresowanie się to, rychło ustało. Tem mniej widzimy go w innych dzielnicach kraju. Zaledwie gdzie niegdzie mamy wspominki, i to głównie o *Kalderonie* (Muzeum 1836 *Gaz. Codz.* 1855 — *Studia Em. Rzewuskiego* 1847 r.) — nieco o pieśniach (*Dembowski Karol* w *Dzienniku Młod.* 1845) o dramacie w ogóle (*Zamosztowski* w *Gaz. Warsz.* 1858 r.) poezyi (w *Wizerunkach* 1834 r.) o literaturze (w *Rocznikach Lewestamma* 1842), o *Martinezie* (w *Gaz.* Warsz. 1852 r.) i. t. d. *Mawrcy Halpert* autor dobrej rozprawy o *Moratinie* (w *Bibl. Warsz.* 1852 r.), zapowiedział druk dzieła o teatrze hiszpańskim od początku XVIII stulecia, miał wydać zarazem swoje przekłady z *Kalderona* i *Moratina*, skończyło się atoli na zapowiedzi.

Poezye hiszpańskie tłumaczyli w pojedynczych wierszykach *Bronikowski A.* (w *Prz.* Ludu 1847.) *Zabłocki Łada* (z *Villegi* przekład 1844.) powieści *Siemiński Lucyan*, *Kłobukowski*, *Borowski Leon*, (*Servantes*.) *Podolski* i kilku innych małej wartości tłumaczy, korzystających z przekładu francuzkiego lub niemieckiego.

Te są mniej więcej źródła, odnoszące się do literatury nadobnej hiszpańskiej w naszym języku. Z nielicznego pocztu tłumaczy, *Słowacki* jaśnieje jako gwiazda pierwszorzędną. *Baliński*, *Budziński* i *Pruszkowa* tłumaczą z oryginału, i umiejętniej niż wszyscy poprzednicy.

O ile mi wiadomo są inne prace po rękopismach zachowane. W r. z. inny przekład *Kochanków z Teruelu* ofiarowany był *Kłosom*. Są w rękopiśmie przygotowane do druku przekłady: *Bretona de los Herreros*: «Umrzć a ujrzyć» dramat w 5-ciu aktach wierszem. *Mariana José do Larra*: „Precz ze sklepem“ komedya w 5-iu aktach prozą. *Manuela Gorostiza*: „Z tobą o chlebie i wodzie“ komedya w 4-ach aktach prozą.

Śledząc dramat hiszpański, zająłem się przekładem dzieł kilku tegoczesnych pisarzy — powodował mną wzgląd wymagań sceny dzisiejszej, do której nie przypadają poemata dramatyczne szesnastego stulecia. Utwory poetów tegoczesnych nie są u nas znanymi. Ktoby w nich szukał owego nastroju lirycznego i wiary poetycznej w czary i cuda, które znamionowały religijne *Kalderona* i jemu współczesnych, omyliłby się bardzo. Zapal i wiara ostygły znacznie, została atoli barwa poetyczna, łatwość kombinacyi najdziwaczniejszych i dar malowidła wrzających namiętności, które główną odgrywają rolę w każdej sztuce południowych dramatyków.



Dramat *Hartzenbuscha* pisany jest na poły prozą, na poły wierszem a to według dowolnej fantazyi poety. Wiersz toczy się półrymowy, to jest *assonansami* czyli rymami podobnych brzmień, (w rodzaju rymów w naszych pismach ludowych). Zwyczajna to forma wiersza półwypsu Iberyjskiego, ułatwiająca przejście z wierszy do prozy, bez psucia harmonii formy. Układ dramatu pół wierszem pół prozą, nie zdawał mi się odpowiednim do przekładu, tem mniej byłoby stosownem prozą przerabiać na rym, celem jednolitości formy, wolałem zatem poprzestać na skromnej prozie.

## OSOBY.

*Don Juan Diego Martines Garsess de Marsilia.*

*Donia Issabella de Ssegurra.*

*Donia Margarita, jej matka.*

*Don Rodrigo de Azagra.*

*Don Pedro de Ssegurra, ojciec Izabeli.*

*Don Martin Garsess de Marsilia, ojciec Don Juana.*

*Zeangir, król Walencji, Maurytańczyk.*

*Zulima, żona Zeangira.*

*Adel, niewolnik.*

*Marya Gomez, służebnica Izabeli.*

*Trzej bandyci.*

*Żołnierze maurytańscy, niewiasty, kawalerowie, służba, rabusie, kat, przewoźnik.*

*Akt pierwszy odbywa się w Walencji, dalsze zaś w Teruel, roku 1217.*

## A K T I.

Sypialnia przyozdobiona z przepychem maurytańskim. — Na prawo po boku seany łoża w podobnym guście. — Na lewo szafa z rzezbami arabskimi — a dalej okno z żaluzjami i oponami. — Drzwi wielkie w głębi, a małe po bokach.

## Scena 1.

ZULIMA — ADEL — MARSILIA (śpiący na łożu).

ZULIMA. Ty sam wiedzieć będziesz o tej tajemnicy.

ADEL. Sultanko! ciężkie są klucze więzień, lecz w ciągu lat dwudziestu nie zaciężyły mi jeszcze; — lekkim jest ten klucz od harem, który mi powierzasz, a już wywiechnął mi rękę.

ZULIMA. Dla czego? Przecież to także klucz więzienny. —

ADEL. W więzieniu wolno dozorca przyjmować bezpiecznie tysiące gości; ale do więzienia, w którym króluje uciecha, niechno wpuszcze jednego tylko, a mogę głową przypłacić.

ZULIMA. Jakto? Odmawiasz mi przysługi?

ADEL. Pani — ty wiesz, że niewolnik niczego odmawiać ci nie może. Najjaśniejszy Emir nasz, któremu niech Allah błogosławi, rzekł do niewolników na wyjeździe z Walencji: Rozkazuje wam być posłusznymi małżonce naszej, Zulimie, jakoby mnie samemu, aż nie wrócę z Mureji.

ZULIMA. Winienesz mi więc posłuszeństwo...

ADEL. Alboż postąpiłem kiedy inaczej? — Lecz Emir wróci do Walencji — a gdy nadejdzie nieszczęsny dzień w którym głazy przemówią, rzeknie i on do mnie: Któż ci pozwolił wprowadzić psa niewolnika do królewskiego harem? Mógłbym odrzec: Tak rozkazała sultanka Zulima!.. lecz wymówka ta nie uwolni mnie od plag, obcięcia uszu, chłosty lub wydarcia żywota. Chciałbym uniknąć tego, sultanko, a nie postradać także twoich względów.

ZULIMA. Bluźnisz Allahowi, wróżbito złej wieści. Widmo katowskie nie pozwala ci zrozumieć żaru mojej miłości.

ADEL. Bo i jedno i drugie życiem opłaciłbym musiał.

ZULIMA. Czy sądzisz, że nie obmyśliła środków bezpieczeństwa? Pod nieobecność monarchy nikt nie przestąpi progu tych komnat. Ramiro pozostanie tu tak samo nieznanym, samotnym jak i podówczas, kiedy zostawał pod twoją s'razą w najgłębszej pieczarze więzienia. Zresztą — sam powiadasz, że gdyby tam jeszcze dwa dni pozostał, umarłby najniezawodniej.

ADEL. Mówiłem prawdę. — Uczyniłem nierównie lepij, zamilczając o tem aż do następnego poranku.

ZULIMA. Ha! naówczas podzielałbyś z nim grób razem.

ADEL. Niebezpieczeństwo z jednej — przepaść z drugiej strony. Widzę że los mój splótł się z losem tego niewiernego; niechaj się spełni jak napisano w księdze przeznaczenia! — Ramiro nie odzyskuje przytomności...

ZULIMA. Spóźniają się skutki. Czy nie przesadziłeś, zadając krople balsamu?

ADEL. Nie wiadomo kiedy je zażył. Zeszłej nocy spuściłem mu kubek z napojem, wiem że nie miał ochoty spełnić go od razu. Sultanko! przedmiot twojej dobroci godzien tylko politowania a nie miłości...

ZULIMA. Politowania?.. Tak, to ono powiodło mnie do miłości. Widywałem go w ogrodzie seraju, a żelaza nie zdołały ugiąć dumnych ramion jego. W chwili kiedy przechodził około moich okien, dostrzegłam bladłość jego oblicza, naskuchiwałam westchnień i przerywanych słów jego, któremi od czasu do czasu wypełniał ponure i uporeczywe milczenie. Czemu wzdychasz? mawiałam doń z poza okien zasłoniętych?... Jestem niewolnikiem!.. odpowiadał mi zawsze.

ADEL (z przekąsem). O! i oni, chrześcianie, także wzdychać umieją?..

ZULIMA. Trucizną obrzydliwą tryska każde twoje słowo. Ale, mylisz się duszo zawzięta! mylisz się w nędznych domysłach! Ramiro nie wzdycha za kochanką. Ramiro nie zaznał miłości w swoim kraju. Ta pierś podniosła, nie ugięłaby się pod ciężarem pospolitą miłości — tem mniej pod urokiem chrześcianki. Tylko żar Afryki, namiętność gorąca jak słońce co przepala skórę na węgiel, zdołałaby go rozognić. Ramiro jest mężem znamienitego szczepu; dowodzi tego klejnot, który dostrzegłam na jego piersi. Jestem pewna, że jeżeli mi kto odczyta to płótno, któreśmy znaleźli zapisane krwią jego, lub jeżeli zechce wyjawić dobrowolnie pochodzenie swoje, usłyszymy jedno z najsłynniejszych nazwisk Hiszpanji. Albożto niektórzy z jeńców pojmanych przez Jakóba w bitwie pod Aharos nie poumierali z rozpaczy? Nie zabił ich duma? Czy sądzisz, że Ramiro mniej jest dumnym? I, dla czego miałaby on właśnie mieć kochankę? Biada, biada mu naówczas!.. Biada i mnie samą! Gdyby tyle katuszy, tyle wyteżeń celem odzyskania swobody, tyle obojętności względem mnie, miały pochodzić z miłości dla jakiejś tam chrześcianki..... Niel to być nie może.. Ramiro! Ramiro! ocuć się, uspokój moją obawę. Powiedz mi... Jeżeli już nie zechcesz mnie pokochać, to zaprzysiąż mi, że niekochales nigdy!

ADEL. Pragnę, by się inaczej stało.

ZULIMA. Nieznasz go. Skoro raz pokocha, to miłość ta wypełni całe życie jego.

(Otwiera szafę, i szuka czegoś na pułkach.)

ADEL. Sułtanko... on milczy upornie. To nie dobrego.

ZULIMA. Zdawało mi się, że mam tu napój mogący przywrócić mu przytomność — poszukam czemprędzej. (wychodzi).

## Scena 2.

ADEL (sam). Sułtanka zajęła się na dobre tym więźniem. Niewolnik dowie się że jęj winien życie i choćby przez wdzięczność samą, ulegnie jęj pieśczoćtom. Dla tych ludzi, są wszelkie rozkosze na usługę, a w godzinie kary, spadnie to wszystko na moją głowę. Jakżeto ciężko, dla cudzej rozrywki dążyć ku przepaści z oczyma zamkniętymi. Kobieta, jakżeż ułomną jest istotą. Ta Zulima olśniona nazwą monarchini, nie przypuszcza, ażeby znalazł się ktośkolwiek szpiegujący niewidzialnie jęj kroki, tłumaczący jęj wyrazy, aż do gestów najdrobniejszych. Czyliżby Emir przez łaskę osobliwszą, pozostawił ją wolną od szpiegowstwa jego zauszników afrykańskich? (otwiera małe drzwiczki na lewo i spostrzega Zeangira), Widzę, że nie.

## Scena 3.

ZEANGIR — ADEL.

ZEANGIR. Podśluhałem cię.

ADEL. Słyszałeś nas panie?

ZEANGIR. Wszystko.

*Odbitka z Tygodnika Mód.*

ADEL. I cóż...?

ZEANGIR. Nie trwóż się. Nic tak złego..

(Zwraca się ku szafie — szuka w niej czegoś, i nieznajduje. Zbliża się do łóżka, na którym leży Ramiro, podnosi płótno jakieś, krwią zapisane — czyta z podziwieniem).

Ach! — cóż odkryłem!

ADEL. (na stronie). Będziemy palić na stosie. (Głośno). Powiedz mi przynajmniej, co tam napisał ten niewierny? Pragnąłbym wiedzieć, co donosi o sobie? Jest tu ktoś, który go uważa za księcia, ja zaś widzę w nim dzielnego rycerza. Rozrywa najsilniejsze kajdany, wdrapuje się na więzienne mury — i ani razu jeszcze nie przyszło mu na myśl traktować o wykup za przyzwoitą opłatą. Wnoszę ztąd, że zasobniejszy jest w siły, niż w złoto. Treść tego pisma nie wymaga zapewne tajemnicy; w każdym razie jestem dozorcą, widziałem wielu umierających z powodu że milczeć nie mogli — jestem przekonany o korzyści z pozostania niemową.

ZEANGIR. Tak jest — obowiązkiem twoim milczeć, nadewszystko przed Zulimą. (Sklada napowrót płótno na łożu, zwracając się ku drzwiom, które wszedł).

ADEL. Mogę tedy uważać się za uwolnionego od posłuszeństwa względem Sułtanki?

ZEANGIR. Dziś rano ustanie ten obowiązek.

ADEL. A teraz...

ZEANGIR. Możesz jęj służyć. Zapomnij, żeś mnie widział. Czuwaj nad życiem tego chrześcianina. (Wychodzi).

ADEL. Czuwać nad nim! Więcej też nie żądała i Zulima. Niech wbiją mnie na pal, jeżeli cośkolwiek pojmuje. Szczęściem dla mnie, że aby być posłusznym, nie potrzeba koniecznie być wtajemniczonym. Niechaj spełni się jak zapisano w księdze!

## Scena 4.

ZULIMA — ADEL.

ZULIMA. Każ wyszukać z pomiędzy więźniów jakiego kapłana nazareńskiego, któryby potrafił odczytać to pismo. (Wskazuje na płótno).

ADEL. Idę i przyprowadzę.

ZULIMA. Mógłby się spostrzedz Ramiro, gdybyśmy mu wzięli to płótno. Lepiej byłoby odczytać je w nocy podczas mocnego snu Ramira — a nie domyśli się niczego.

ADEL. O, zanim noc zawita, Ramiro sam ci wyjaśnienie udzieli. (na stronie) Chce mnie się pozbyć koniecznie. (Wychodzi).

## Scena 5.

ZULIMA — MARSYLIA.

ZULIMA. Pierś jego zaczyna się poruszać. Już czas. Kilka kropli przywołają go do życia. (Przytyka mu flaszeczkę do nosa).

MARSYLIA. Ach!

ZULIMA. Wraca do przytomności.

MARSYLIA (podnosząc się). Co za światło rażące. Nie mogę go znieść.

ZULIMA. (zasuwa z pośpiechem opony u okien). Nie-szczęśliwy, przywykł do ciemności pieczar więzien-nych.

MARSYLIA. Nie—to nie moje wezglowie — to ło-że! Cóż się stało z mojem więzieniem? Pani —(wpa-rując się w Zulimę).

ZULIMA. W czasie letargu przeniesiono cię tu za moim rozkazem. Pozostaniesz odtąd pod moją opieką.

MARSYLIA. Niewolnikiem przez całe życie!

ZULIMA. Porzuć tę troskę — zostaniesz wolnym.

MARSYLIA. Gdzież jestem?—Kogóżto widzę przed sobą?

ZULIMA. Kogo?... Żonę — Alkaida!

MARSYLIA. Merwana?! (zawraca oczyma naokół sie-bie, dostrzega płótno zapisane i ukrywa je szybko).

ZULIMA. Tak — jestem żoną Merwana, ale głos mój ma władzę prawa. Merwan niczego nie przed-siębierze bez mego posłuchania. Pod nieobecność króla Walencji, jam jest panią tego zamku — ja Zoraida.

MARSYLIA. (na stronie). Jeżeli przeczytali. Co za nieroztropność, (do Zulimy). Zapewne Merwan po-wierza ci swoje tajemnice.

ZULIMA. Niema ich żadnych przede mną. Winie-neś pójść za jego przykładem.

MARSYLIA. (Na stronie), Jest współniczką...

ZULIMA. Uspokój się — choroba twoja ustępuje. Rumieniec zdrowia zabarwi szybko twoje usta.

MARSYLIA. O, dla mnie potrzeba innego lekar-stwa.

ZULIMA. Jakiego? mów?..

MARSYLIA. Napić się rodzinnego powietrza.

ZULIMA. Nie pomnę żadnego środka dla twojego szczęścia: Swobodę, skarby... co zechesz, wszystko mieć będziesz.

MARSYLIA. Wystarczy mi złoto, które mi zrabo-wał twój ojciec. Kiedym wysiadał z okrętu, wydarł mi szczęście i mienie.

ZULIMA. Z lichwą zwrócę ci stratę.

MARSYLIA. Dziewico niebios, zstąpiłaś tu, by po-łożyć kres nieszczęściu mojemu. Jesteś serafinem w szacie śmiertelnika. I miałooby to być prawdą?... Któż cię wynagrodzi za tyle łask nieoszacowanych?

ZULIMA. Jestem kobietą — a na dowód tego, ża-dam zapłaty.

MARSYLIA. Tak, wdzięczności dozgonnéj.

ZULIMA. Pożadam więcej.

MARSYLIA. Nic nie posiadam więcej.

ZULIMA (spogląda na klejnot zawieszony u jego szyi). Talizmanu który widzę u twój szyi, czy nie mieści w sobie czarów jakich?

MARSYLIA. Tak, mieści je... ale dla chrześcianina,

ZULIMA. Ależ mi szkodzić nie może... Pozwól, niech go obejrzę, jeżeli go tem nie skażę.

MARSYLIA (podając pierścień z klejnotem). Bierz Zo-raido. Powierzam ci jedyne moje dobro. Zresztą, jako niewolnik kto wie, czybym dobrze postąpił od-mawiając ci tego.

ZULIMA. Skoro strata tak drobnój fraszki dojmuje ci tak boleśnie, to kto wie, czy i ja postąpiłabym le-piej od ciebie, ufając nazbyt twojej wdzięczności.

MARSYLIA. Z rozkoszą przelałabym krew za ciebie. Dusza moja odstępuje ci całą część wdzięczności, ja-ką wydzielić zdoła — i oby Bóg dał, ażeby i więk-szą część mogła ustąpić dla ciebie.

ZULIMA. To znaczy, być bardzo wdzięcznym. Chciałabyś może odplacić się miłością? Z tego co słyszę, zdajesz się sądzić, że pałam namiętnością ku tobie. Sądziłam, żeś mniejszy próżny, lecz nie obrażam się tem.

MARSYLIA. Nie widzę niewiasty w tobie, ale bos kość, zasadzającą chwałę swoją na rozdawaniu łask. A ta zapłata o której napomknęłaś?

ZULIMA. Niewielka. Pragnę wyznania rzetelnego o twojem pochodzeniu i godności. Roztocz tajem-nicę, którą się wy niewolnicy tak często osłaniać lu-bicie. Możesz spokrewniony z rodem monarszym? Zeznaj przedemną. Pożadam chciwie zapłaty, jak-kolwiek to nie doda ci już więcej wartości nad tę, jaką przywiążuję do ciebie.

MARSYLIA. Los był zawsze skąpym i okrutnym względem mego domu,

ZULIMA. Jakto? Miałabyś niepochodzić ze zna-mienitego rodu? a jednak byłeś panem okrętu zło-tem naładowanego?

MARSYLIA. Ach! gdyby mnie fortuna była wykoły-sała w kolebce złocistej, nie byłbym teraz twoim niewolnikiem. Mój umysł spokojny nie zadawałby sobie gwałtu, ażeby gromadzić skarby w zawodzie kupieckim.

ZULIMA. W każdym wyrazie twoim rwie się za-kryta tajemnica. Nieprawdaż, ty się nazywasz Don Ramiro.

MARSYLIA. Nazwisko moje, Diego Marsylia. Ko-lebką moją Teruel, miasto wzrosłe u brzegów chło-dnej Turyi, miasto powstałe wśród okropności woj-ny, poświęcone krwią jego dzielnych mieszkańców. Stwórca dając mi postać ludzką, chciał bez wątpienia zespolić zarazem miłość mężczyzny z niewieścią, a pragnąc oboje obdarzyć równością uczuć, udzielił im duszę jedną, rozdzieloną na dwoje, i rzekł stwarza-jąc ich: Żyćcie i kochajcie się! Na głos ten stworzo-na Izabela i ja — istniejemy. I światło pierwsze uj-rzeliśmy w jednym dniu, o jednej godzinie. Od lat zamierzchłych łączy nas miłość. Namiętność zda-wała się być w sercach naszych od dziecka tak wro-dzoną, jak gdyby już była istniała przed urodzeniem się naszym. Obojeżni oboje na świat, który wzajem nie zważał na nas, pędziliśmy wiosnę latek dziecięcych w spokojności tak głębokiej, w takim szczęściu, że i pojąć nie mogłem, by mogło istnieć większe szczę-ście w wieczności.

ZULIMA. To prawda. Mów — słucham cię. Za-jąłeś mnie bardzo.

MARSYLIA. Ubiegł czas rozkoszy, a nastąpił wiek śmiertelnej kary. Znaleźli się zawistni.

ZULIMA. Och, to okrutna kara. I jam jęj doznała.

MARSYLIA. Miałem rywala.

ZULIMA. Rywala?

MARSYLIA. Bogatego.

ZULIMA. Tem bardziej —



MARSYLIA. Pysznił się bogactwy swemi.

ZULIMA. I uwiódł piękność twoją?

MARSYLIA. Nie wiele zdolają czary złota na tych, co kochają szczerze. Ale ojciec jej ośniony...

ZULIMA. Nie uwzględniwszy twojej miłości, oddał przeciwnikowi kochankę.

MARSYLIA. Udałem się doń. Namiętność przemówiła całym dobytkiem sił swoich — a on, wstrzymał ten związek, stawiając mi warunek...

ZULIMA. Jakiż?

MARSYLIA. Jeżeli w ciągu sześciu lat zbogacę się.

ZULIMA. Czy upłynęły już?

MARSYLIA. Powiedziałem ci że nie byłem bogaty.

ZULIMA. Termin upłynie?

MARSYLIA. Za sześć dni.

ZULIMA. Tak prędko?

MARSYLIA. Brakło mi złota. Wasz monarcha zagroził wówczas chrześcijaństwu. Nie mogłem lepszej sprawie poświęcić ramienia; tylko nadzieja powodzeń krzepiła moje męstwo. Otrzymawszy nareszcie zezwolenie ukochanej, podążyłem na dwór króla do Kastylii, i walczyłem za wiarę na polach Tolossy.

ZULIMA. Miejsce wyklęte przez niebo, miejsce na którym los czarny zgruchotał potęgę półksiężyca na ziemi.

MARSYLIA. Odwaga okazaną w wojennem rzemiośle wyróżniła mnie z pośród innych i obfite wydzielili mi łupy. Lecz niestety, przypało wszystko na brzegach Garonny. Upadłem na zwłoki monarchy, walcząc w porażce pod Maurelem. Pojmany w niewolę, uciekłem. Przybyłem do Syrii. Albigen, francuz wychodziec, któremu ocaliłem życie w Beziers, zapisał mi przy zgonie cały swój majątek. Wracałem do Hiszpanii ze skarbami. Los zawistny popędził mnie do niewoli w Walencji. Zagrzebano mnie żywcem w pieczarach zamku. Przed powalonym i zwalczonym w nierówniej walce, wytrzymanej tak długo przeciw duchowi złego, wskrzeszasz teraz sny moje spokojne jedynie dla odczarowania okropnej rzeczywistości.

ZULIMA. Nie na szkodę twoją dopuścił prorok nieszczęście. W twojem ręku przeznaczenie. Teraz dopiero, kiedyś mi opowiedział przygody, stawaję mi także na pamięci nieszczęścia mojej miłości. Widywałem niewolnika, arragończyka, w ogrodach seraju. Przymioty jego i nazwisko zamilczam. Ujrzałam go i pokochałam, nie powierzchownie, ale pożerczą namiętnością. Serca nasze, to węgiel roziskrzony, serca chrześcianek to śnieg. Arragończyk skazany został na śmierć z powodu szalonych pokuszeń o ucieczkę. Ocalam go nareszcie od żelaznej władzy dozorczy, i oznajmiam mu że go kocham. Cóż myślisz że uczynił niewdzięczny?

MARSYLIA. Nawrócił cię na swoją wiarę.

ZULIMA. Tak jest — i rzekłam doń w oblakaniu. Twój Bóg jest moim — Mego Boga w tobie ujrzałam.

MARSYLIA. Lecz jeżeli już pierwój poślubił wiarę jakiej hiszpance.

ZULIMA. Kochaj twoją ulubioną — zawołałam. Nie wymagam ażebyś kochał mnie samą, lecz niech przynajmniej miłość moja wyżebrze litość u ciebie. Wszak u was chrześcian nie wzbroniony zwyczaj mieć żonę i kochankę. Ujrysz, jak będę dumną z tego miana zniesławionego. Cóż mi szkodzić mo-

że pogarda niesprawiedliwa, gdy serce bije w zbytku szczęścia! Przez samą dumę przyjąć mnie powinien. Powiedz, ażali nie porośniesz w pychę widząc zależną od twojego głosu kobietę, którą bodaj czy słusznie i nazwano pieczęcią wschodu.. różą miłości. cudem zachwytu... Któż zdoła udzielić ci coś wspanialszego nad dostojność pierwszego ministra w tym kraju? A dla podwyższenia wdzięków twojej małżonki, okryje się od stóp do głów tyłoma a tak cudnemi klejnotami, że jeżeli wstąpi w grono królowien, wypiętnuje się na czole każdej podziwienie i zazdrość. Posiadam dyamenty, może najkosztowniejsze, którychby nie zdołał opłacić starb Arragonii.. Rozważ dobrze, i wiedz zarazem, że gdybyś mnie miał odepchnąć, wybuch mojej zemsty będzie tem straszniejszy.

MARSYLIA. Jam nieszczęśliwy.

ZULIMA. Ciebie, Marsylio, nie o tyle nawet błagam. Rzekłam wreszcie do zarozumiatego niewolnika. Zostaw mi przynajmniej nadzieję, a potem zabij mnie. Cóżbyś był na to odpowiedział?

MARSYLIA. Że zasługujesz na współczucie. Lecz gdy namiętność, wrodzona sercu, wzrosła wraz z ciałem — gdy ona jest dlań tak koniecznym żywiołem do życia jak słońce i powietrze — to jakżeż może kochanek być zdolnym do tak srogiego oszukiwania miłości? Bojaźń okropnej straty nie przestałaby go ścigać. Za taką zdradę, przedmiot ubóstwiany pomścić się może albo gniewem albo zapomnieniem, które jest najdolegliwszem nieszczęściem. Gdyby moja Izabella żartem rzekła do innego: Kocham cię!.. zamordowałbym ją. Och, nie! nie!.. skonałbym. Bóg rozwinął przedemną drogę do szczęścia — a okrutne losy powstrzymały mnie na niej. Jeżeli więc Bóg wybawcę zsyła, pochwyć ratunek — a temu, kto by mnie obłąkać usiłował, odpowiem: Precz kusieliu!

ZULIMA. A więc powołaj się w upadku do swego Boga. Pożegnaj tę niewygasłą miłość, bo już jej nigdy nie ujrzysz. O wściekłości! Allach by mnie zdruzgotał, gdybym zniosła moją zniewagę. Tak jesteś nędzny, a tak dumny. Zniżam tylekroć moje przywiązanie, składam serce w ręce chrześcianina — a on, odręca i depcze je. A czy też pojmujesz, dokąd wznieść się zdoła mój gniew, moja potęga? Ujrzysz niebawem ogrom mój zemsty. Naplwać w twarz pozwolę sobie, jeżeli się nie pomszczę! Umieraj chrześcianinie. Nikt jeszcze nie poniżył mój piersi bezkarnie. To powiedziałam niewolnikowi — to powtarzam Marsyliemu.

MARSYLIA. I ty sądzisz, że mnie śmierć przerazi? A toż kres mych cierpień.

ZULIMA. Lecz konać będziesz w tęsknocie nieskończonej — powrócisz do swoich pieczar. Tam to ja sama przyniosę ci z rozkoszą wieść o zamążpójściu twojej Izabelli.

MARSYLIA. Długoż będę dogorywał w więzieniu, w którym już tyle strasznych dni przetęskniłem?

ZULIMA. Nieba! ten zuchwalec gotów złamać potęgę mój władzy. Ja mu grozę trumną — a on szydzi z mojej wściekłości. Ach! ten śmiech, na lzy ci zamienie. Branek z Ternelu, Izabellę mi tu przywiodą.

MARSYLIA. Kto jesteś niewiasto? z kąd ta władza?

ZULIMA. Drzyj przedemną.

MARSYLIA. — Daremna wściekłość.

ZULIMA. Nie — nie Zoraide widzisz przed sobą — jam nie córka ni żoną Merwana — jam Zulima!

MARSYLIA. Sultanka?

ZULIMA. Królowa!

MARSYLIA (daje jej płótno krwią zapisane). Masz! — tem odpowiadam na twoje uczucia. Powierzam ci to pismo, pokaż je niezwłocznie człowiekowi zaufanemu. Ratuj się.

ZULIMA. Cóż to? nieszczęście?..

MARSYLIA. Małżonek twój wraca do Walencji.

ZULIMA. Kiedy?

MARSYLIA. Dzisiaj — i tej nocy jeszcze ty i on zginiecie z rąk zdradzieckich.

ZULIMA. Któżby śmiał targnąć się na nas?

MARSYLIA. Merwan twój mąż domniemany. Jeżeli więc nie cofniesz twój zemsty, to zamilknę, a zgon czeka was okropny.

ZULIMA. Zkąd wiesz o sprzysiężeniu?

MARSYLIA. Wczoraj miotany gorączką, roztwarłem drzwi mojej pieczary, i wybiegłem na korytarz więzienny! Słyszę rozmowę. Podśłuchuję. Było to zgromadzenie waszych przeciwników, Merwan im przewodniczył. Ułożył spisek na twego małżonka. Umyśliłem ocalić go czempredzją, ażeby go zobowiązać do udarowania mnie wolnością. Spisałem wszystko na tem tu płótnie — a resztę wiesz już. O wynagrodzeniu nie mówię — zostawiam to twojej sprawiedliwości. Zawołaj niezwłocznie Wezyra, niech zbada ten plan — ty zaś przyjmij odemnie te lekcję zemsty.

## Scena 6.

*Ciż i Adel.*

ADEL. Sultanko — król powrócił do Walencji.

ZULIMA. Straszne przeznaczenie!

MARSYLIA. I cóż kłamały moje usta?

ADEL. Król znajduje się w haremie. Jeżeli tu wpadnie, a ujrzy niewolnika...

ZULIMA. Nieszczęście moje dosięgło szczytu.

ADEL. Wisisz na włosku — rozkaż.

MARSYLIA. Dość będzie wyprowadzić mnie ztąd. Wierząc moim ustom, umiem zapominać doznanych krzywd.

ZULIMA. Podziwiam cię (na stronie) Mogę się jeszcze ocalić. (do Adeli) Wyprowadź go tędy. (Otwiera drzwi ukryte za łóżkiem w murze) Poza haremem pozwól mu wypocząć.

ADEL (do Marsyliego). Spiesz się.

MARSYLIA (wychodząc). Nieumiem nienawidzić.

(Odechodzi).

ZULIMA (sama) I ja także. Idź, zażyj szczęścia przy kochance, a ja odpokutuję. Ale nie!.. (otwiera szafkę, wyjmując długą fiaszeczkę, której korek wygięty jak sztylet. Porywa za trzonek.) Uniknę obojga jednym uderzeniem ostrza zatrutego. Rana będzie niewidzialna — powiem że wyzionął ducha z powodu cierpień, pomimo starań i zabiegów moich. Milcz!.. (wychodzi drugimi skrytymi drzwiami.)

## Scena 7.

Zeangir. — Żołnierze Maurytańscy. — Kat. — Przewoźnik.

(wchodzą drzwiami na lewo).

ZEANGIR (do żołnierzy). Odprowadzić do więzienia tę piękność przeniewierczą (do kata). Zetniesz głowę Merwanowi, i utwierdzisz ją na balkonie. (do przewoźnika) Tej nocy zabierzesz trumnę do zatopienia, a chociaż usłyszysz w niej jęki, rzucisz ją do morza.

## A K T II.

Sala w domu don Pedra de Segura.

### Scena 1.

*Don Pedro. — Marja Gomez.*

MARJA. Panie, panie!

PEDRO. Cóż tam Marjo Gomez?

MARJA. Odbieramy już odwiedziny.

PEDRO. To rychło. Zaledwie uściskałem córkę i żonę, już mnie nachodzą. Powinnyby zrozumieć, że mi należy wpięćw odpocząć w gronie rodzinnem. Ktokolwiekby przyszedł, powiedz mu, że jutro przyjechać będę życzenia całego Teruelu.

MARJA. Prawda, święta prawda. Niechajby nam nie przeszkadzali. Requiescant in pace. Jutro mogą się zabawić jak im się spodoba — a solis ortu, usque ad occasum; od chwili skoro słońce zajrzy do ogrodu, aż dopóki nie ustąpi z domu. Tak mawiał ojciec przełożony zakonu, w którym odbywałam nowicjat. Tem więcej że ten, co się z tobą widzieć pragnie, jest don Martin de Marsylia.

PEDRO. Marsylia? To co innego. Nie ukrywam się nigdy przed wrogiem.

MARJA. Ach — wiem że tego nie byłby powiedział ojciec wikary.

(wychodzi)

### Scena 2.

DON PEDRO (sam). Chciałbym zakończyć ten pojedynek — za jednym ciosem, i to w tej chwili. Don Martin chorował obłożnie — snąc że wraca do zdrowia. A jeżeli zupełnie zdrowia nie odzyskał, nie zechce przecież skrzyżować się ze mną. Przynajmniej słusznosc jest po mojej stronie, i to mi wróży zwycięstwo.

### Scena 3.

*Don Martin. Don Pedro.*

MARTIN. Witam cię z powrotem Don Pedro Segurra.

PEDRO. Życzę wam zdrowia szlachetny Don Martin Garses de Marsylia. Chciéj zasiąść. Zastajesz mnie rozbrojonego (przepasuje się szpadą leżącą na stole). Słyszałem, żeś chory. Jakże się miewa sz?

MARTIN. Wyzdrowiałem zupełnie.

PEDRO. Nie sądziłbym.

MARTIN. Domingo Celada.

PEDRO. Dzielny człowiek, doprawdy.

MARTIN. Bo zawsze w pociskach wygrywa partję.

PEDRO. Rozumiem was. Pójdźmy nad brzeg Gwaldakwiru —

MARTIN. Don Pedro — pragnę pierwój rozmówić się z tobą.

PEDRO. Siadźmy. Mów — słucham. (siadają).

MARTIN. Przyczyną pojedynku naszego była...

PEDRO. Pozwól że ja ci ją przypomnę. Usta twoje śmiały wyrzec, iż z powodu mojej chciwości straciłeś syna. Otóż pohańbienie, domagające się odwetu.

MARTIN. Sądziłeś, że stchórzę?

PEDRO. Gdybym cię uważał za takiego, wówczas Don Pedro de Segurra nie stanąłby z tobą do walki.

MARTIN. Nie odwracałem nigdy oblicza od niebezpieczeństwa —

PEDRO. Jeżeli rozprawa nasza równą być może —

MARTIN. Będzie nią dla tego samego....

PEDRO. Krwawa, śmiertelna. Jeden z nas poledz musi.

MARTIN. Mnie śmierć — ciebie zemsta dosięgnie. Zamorduj mnie! Czekam na to — (odrzuca szpadę — zgina kolana przed don Pedrem). Oddaję ci szpadę i życie.

PEDRO. Co czynisz? Żelazo moje nie przeszywa tego, który sam piersi nadstawia.

MARTIN. Honor twój woła o krew Marsyliego. Wytoz ja!

PEDRO. Zaprzadasz mi ją na placu boju. Sam wywołałeś pojedynek.

MARTIN. Dobrodziejstwo jest jego rozjemcą. Jestem szlachcicem.

PEDRO. Dobrodziejstwa z méj strony? Zdumiewasz mnie.

MARTIN. Wysłuchaj — a potem rozstrzygniesz. Jest temu miesięcy trzy, jak mnie powaliła na łóżko boleści wszechmocna dłoń, która wszystkiem kieruje. Rodzina moja przerażona niebezpieczeństwem, udała się do twojej małżonki, błagając ratunku. Umiejętność leczenia czy też łaska jakaś, którą niebiosy zlały na nią, wprawiają w podziw całe miasto, odkąd zostawszy siostrą miłosierdzia, gorliwością swą wydiera śmierci tysiące dusz. Urażony na was, odpychałem pomoc waszój małżonki. „Nie chcę (mawiałem) odzyskać zdrowia, jeżeli je mam zawdzięczać dłoni nieprzyjacielskiej.“ Zaciekłość wzrastała równo z cierpieniami. Śmierć roztoczyła skrzydła nad wezgłowiem. Nakoniec nocy jednéj — och, co za noc przerażająca!.. Boleść zrobiła mnie bluźniercą. Błagałem z wściekłością o nóż. Piekło śmiało się, słysząc moją rozpacz. W tem opodał drzwi, a potem przy łożu zjawia się pielgrzym z zakrytem obliczem. Zdawał się być aniołem zbawienia i pokoju. Mówił ze mną, pocieszał mnie. Wlał mi w usta napój błogostawiony, i ulżył boleściom. Niechciał zdjąć maski — wyszedł. W nocy, w której ostatni raz odwiedzał mnie, jam uzdrowiony już, i śledziłem kroki jego. Krzyżowałem po różnych ulicach — wreszcie spostrzegłem, jak zawracał ku waszemu domowi, wstąpił do owéj pustelni, która graniczy z waszym

*Odbitka z Tygodnika Mód.*

ogrodem. Odrzucił zasłonę — księżyc zaświecił w twarz jego. Ten pielgrzym — czy wiesz — to była twoja małżonka!

PEDRO. Margarita?

MARTIN. Margarita. Zdumiony, uszanowałem heroiczną skromność wybawczyni. Nie rzuciłem się do nóg, nie przemówiłem nawet i słowa — lecz teraz postanowiłem oświadczyć ci: Don Pedro, tyś mi naznaczył godzinę śmierci, żona twoja nadbiegła i cios twój chybił. Osądź teraz, czy mógłbym kiedykolwiek podnieść szpadę na ciebie? Dozwól mi pozostać szlachetnym.

PEDRO. Winienem ci dużo! Zatem, precz z walką, ze szpadami! O, i przykro mi było stawiać się do walki z tobą. Któżto wreszcie nie drżałby na myśl utraty życia, mając taką towarzyszkę na ziemi. Życie będzie mi odtąd stokroć droższem, jeżeli ty zechcesz nazywać mnie swoim przyjacielem, (podają sobie ręce).

MARTIN. Bądźmy przyjaciółmi.

PEDRO. Na zawsze.

MARTIN. Na zawsze.

PEDRO. Powiedz-że mi, czy zasiągnąłeś jakiej wieści o synie. W nieszczęsnej godzinie, uwiedziony błaganiem Azagry, przyrzekłem oddać mu rękę mojej córki. Gdyby twój syn był pierwój udał się do mnie, ileż łez byłyby sobie oszczędziły obiedwie rodziny! Bog tak chciał!

MARTIN. Błogostawionem niech będzie imie Jego! lecz strata moja tem dotkliwsza.

PEDRO. I cóż?

MARTIN. Od czasu bitwy pod Maurelem, w której dostał się w ręce hrabiego Szymona Monforta, nie pochwyciłem wieści ni wskazówki o nim, mimo że gorliwie wywiadywałem się o niego. Codziennie błagam niebios, aby mi objawiły, na którym krańcu ziemi przebywa. Ale i ziemia i niebo zachowują okrutne milczenie.

PEDRO. Termin sześćioletni, zakresłony przezemnie twojemu synowi, jeszcze nie upłynął. Jedna chwila, jedna godzina wystarcza mu do wieczności, i cieszyłbym się bardzo, gdyby pozostał moim zięciem ten, który tak szczerze pokochał Izabellę. Lecz jeżeli nie wróci — a czas upłynie, i godzina terminu nadbieży... tak... boleje... ale, jestem związany obietnicą dla don Rodryga...

MARTIN (z goryczą). Zdaje się, że los skąpo obdzielił miłością nasz ród. Nie umiając poddać się nieszczęściu, okazywał się cierpliwym, gdy go przygniotło. Bywaj zdrów, don Pedro.

PEDRO. Nie chciałbym ażeby cię widziano w takim stanie. (Bierze szpadę jego leżącą na ziemi, a daje mu swoją). Biorę tę szpadę, a ty przyjmij moją w zakład stałej przyjaźni.

MARTIN. Dobrze. Bywaj zdrów. (Ochodzi).

## Scena 4.

*Margarita. Pedro.*

MARGARITA. Don Pedro, don Pedro, czego to żądał od ciebie ojciec Marsyliego? Czy już przyszło do pojedynku z wami?

PEDRO. Nie — przyszedł celem wręczenia mi swojej szpady. Patrz, to ona!

MARGARITA. Więc się pojednaliście?

PEDRO. Jesteśmy przyjaciółmi.

MARGARITA. Niech będzie błogosławiona dobroć boża!

PEDRO. Czyliż się nie domyślasz, komu winniśmy te zmiany?

MARGARITA. Stwórcy wszechświata.

PEDRO. Najprzód Jemu — następnie... tobie —

MARGARITA. Mnie?

PEDRO. Pielgrzym — lekarz odstąpił się w ruinach przedwcześnie, i ujrano twarz jego.

MARGARITA. Marsylia widział mnie?... Ha, niechaj sądzi jak chce... nie, to nic nie szkodzi, jak skoro wyzwoliłam cię z niebezpieczeństwa.

PEDRO. Pójdź w objęcia, moje dobro, moja duma, mój aniele opiekunczy. Czegóż mi więcej potrzeba? Tylko, kochaj mnie, czcij jak dawniej. A gdyby kiedy zgasło to przywiązanie czyste i spokojne, to błagam, ukryj twoje zobojetnienie. Nie przeżyłbym tej zmiany!

MARGARITA. O nie! jestem godną takiej miłości: pozwól ucałować prochy stóp twoich (kłęka).

PEDRO. Co czynisz. Wstań, zaklinam cię... (Margarita wstając całuje ręce męża).

### Scena 5.

*C i ż. — I z a b e l l a.*

IZABELLA. Giermek od Rodryga Azagry pragnie widzieć się z tobą.

PEDRO. Aha! don Rodryg chciałby was odwiedzić. Po upływie roku, to nic dziwnego. (do Izabelli). Od wyruszenia z Monzon mówił tylko o tobie, i gdyby go nie wstrzymali przyjaciele, byłby wysiadł jeszcze przed pójściem do domu. Idę odpowiedzieć mu na list (odchodzi).

### Scena 6.

*Margarita. — Izabella.*

IZABELLA. Moja suknia ślubna już gotowa.

MARGARITA. Złóż ją tam.

IZABELLA. Wyznaczysz mi robotę?

MARGARITA. Winnaś zająć się strojem. Słyszałaś kto nadejdzie —

IZABELLA (na stronie). Boże mój!

MARGARITA. Miłość Rodryga zasługuje na to, abyś przydała wdziękowi ozdoby.

IZABELLA. Będę posłuszną.

MARGARITA. Widzę moja córko, że cię zasmuca powrót don Rodryga.

IZABELLA. Powrót jego wydiera mi resztę spokoju, którym dotąd jeszcze pieściła w zboląłem sercu.

MARGARITA. Ależ warto, abyś na dzisiaj przynajmniej stłumiła tę odrzę.

IZABELLA. Może przeznaczenie okaże jeszcze litość nademną.

MARGARITA. Córko, zkadże ta odraza względem młodzieńca, wyświadczonego ci łaskę niemalą? Prawda, i ty pochodzisz z rodu niemniej szlachetnego, ale ten który ci poświęca miłość, jestto don Rodryg de Azagra, mąż dostojniejszego rodu, aniżeli

ty. Młodzian uprzejmy, wsławiony, dzielny, bogaty.. Któraż piękność odmówiłaby mu pogardliwie swój rękę? Honor jest zawsze jego przewodnikiem — umysł jego ogarnia wszystko. Monarcha kocha go, zazdrości mu dwór cały, i ujrysz jak w końcu dźwignięty wszechwładzą króla, dojdzie do wysokich dostojństw.

IZABELLA. Powabny to obraz — lecz mało trafiony.

MARGARITA. I ojciec twój uznał go godnym ciebie. Takiemu jak ty dziewczęciu niewolno czynić wyboru według skłonności. Chciałaśbyś podętać prawa ojcowskie? Do ojca należy wybierać małżonka dla córki, a do niej należy oddać rękę i serce temu, którego ojciec wybiera. Takto, Izabello, zawiązują się dzisiaj nasze małżeństwa — tak zaślubiają nas wszystkie... tak też i mnie zaślubiono...

IZABELLA. I mogłaśbyś z takim spokojem poświęcić mnie, okuć w pęta ohydne, które piekło wtłoczyło na cnotę? Wydacie mnie za Rodryga — i cóż za korzyść dla was, dla mnie? Co zyskam na skarbach, to potrąconem mi będzie ze szczęścia. Czegóż spodziewać się po miłości, zrodzonej przez kaprys, podsycającej próżnością, łamiącej opór na przebój? Zdaje ci się, że on mnie kocha... I czemuż to popierać błędy? To, co on mieni być miłością, zowie się dumą, zawiścią. I takiemu zaprzedać mnie myślicie?

MARGARITA. Nie rozporządzam tobą tak jak powinienam. —

IZABELLA. Lecz powiedz mi na Boga, której trzymasz się strony? Pochwalasz mój związek, ażali nie?

MARGARITA. Co znaczy moje zdanie? Winnam tylko być posłuszną. —

IZABELLA. Oh! gdyby nieszczęścia moje znalazły w tobie pocieszycielkę.

MARGARITA. Nigdy. Nie wspominaj mi o niczem. Nie wstawiam się za marzeniami. Odejdź.

IZABELLA. Daremnie... spodziewałam się.. (chce odejść).

MARGARITA. Co? płaczesz?

IZABELLA. Przynajmniej że mi tej pociechy nie wzbroniono.

MARGARITA. Izabello, jeśli cię nie słucham, nie oskarżaj mnie o srogość. Lękam się.. boleję nad tobą... Szata mojej pokuty nie skępowała jeszcze dotychczas mego ciała, iżbym się na głos serca zdobyć nie miała... Ach poświęć Stwórcy te łyż z wiarą dziecięcą. Nieskończonem jest miłosierdzie Jego. Marsylia może powrócić jeszcze —

IZABELLA (z uniesieniem). Ah! — nazwałaś go.

MARGARITA. Zdumiewasz i przerażasz mnie Izabello. Prawda, on może powrócić, ale jakże to niepewne. Nie należy drażnić dłonią nierozważną tej rany, której ból choćby pożądanym, zabija w końcu chorego.

IZABELLA. Podobne zdanie tylko doszalonego stosować można.

MARGARITA. Jesteś szalona, bo kochasz.

IZABELLA. Matko! Krzywdę mi wyrządzasz. Daj Boże, by to się mylnem okazało. Dobrze. Pojmuję czego wymaga mój stan. Już umarł mój ukochany. Nie pisał od lat czterech. Lecz, co mówię!.. on żyje żyje — lecz jak żyje? Może jęczy w ziemi świętej; może jęczy w piaskach libijskich. Nie miał odwagi zasmucać mnie wieścią tak straszną. Usiłuję wy-



tłumaczyć sobie, a mimoto myśleć nie przestaje, że on tam żyć musi. Doszło nawet do tego, że przymuszałam się zapomnieć o nim, że się przeniwierzyl, usidlony wdziękami innej kobiety. Sądziłam nawet że zdolam szanować jego rywala, don Rodryga — pokrzepiona łaską bożą, którą zawezwałam ku pomocy, nie wątpiłam że odniosę zwycięstwo nad sobą. Lecz w chwili, gdy hart duszy dosięgnął szczytu potęgi, słabość ludzka zgruchotała jej władzę, a przed prostem wspomnieniem jednego spojrzenia ukochanego, odwaga runęła w gruzy, a na ruinach jej miłość zwyciężyła. Wówczas-to zadałam fałsz heroizmowi; w rozpacz łączyłam, a w gorące szafu zaprzysięgam, że raczej rzucę się w przepaść, jak żebym połączyć się miała z człowiekiem, który wywołał z piekieł ducha złego przeciw mnie.

MARGARITA. Na Boga, na Boga Izabello! miarkuj się, błagam. Nie pojmujesz moich męczarni.

IZABELLA. Jakto? zadziwia cię to uniesienie? Toż serce moje tak jest przepehnione trucizną, że gotowa zionąć nią na wszystkie strony. Nie was, moja matko... ale ten głaz bezwładny z tego obnażonego muru, to sklepienie które milcząc słucha moich zaklęć śmierci, tę ziemię którą przebić mogłyby łązy moje bo ta nie jest tak twardą i zlodowaciałą jak ci którzy stąpają po niej — nie was... ale te martwe przedmioty gotowa zakląć, by zechciały zrozumieć straszny ból serca. One mi nieudziela pomocy — ale i przynajmniej nie udrećcą!

MARGARITA. Któżby zdołał słuchać cię spokojnie? Ukój ten ból — przytul się do piersi matki i przyjaciółki. Niechaj cię nie odstręcza ta twarz surowa — to tylko maska. Nieszczęścia wypiętnowały mi ją na czoło: znajdziesz pod nią miłość matki, tkliwą i pobłażliwą.

IZABELLA. Matko moja! (ściska ją).

MARGARITA. Z bólem tałam przed tobą rodzicielskie przywiązanie. Bóg skazał i mnie także na połykanie goryczy. Radabym kosztować dziecięcej miłości, a nie powinienam jej kosztować —

IZABELLA. Ty? ach!

MARGARITA. Za winy dźwigam włosienicę i szatę pokutną. Lękałam się roziskrzyć płomień twój miłości. Sądziłam, że sama surowość, to środek najlepszy. Lecz każdej nocy, ilekroć słyszałam cię złorzeczącą surowości rodzica, gorące łązy przelewałam, błagając Stwórcę o spokój dla dziecka.

IZABELLA. Boże! jakżeż byłam niesprawiedliwą. Tyś mnie kochała?... Matko miła! przebac. Uczuwam rozkosz, chociaż jeszcze łązy przelewam. Już od sześciu lat, więcej jak od sześciu, nie doznałam takiego szczęścia. Widzisz ile cierpię, skoro obliczam szczęście, tamujące na chwilę potok moich udrećceń. Lecz, czy zdołasz matko zatrzymać dla mnie w biegu ten ostatni promyk życia?... Matko, matko ubóstwiana, dotykam ustami stóp twoich — ostatnie tchnienie wyzionę tutaj, jeżeli nie dasz folgi łzom moim (klęka).

MARGARITA. Powstań Izabello! otrzyj łązy — wierzaj mi, uczynię, cokolwiek tylko będzie w mej mocy.

IZABELLA. Czas zbiega. A jeżeli ubiegna ostatnie trzy dni... trzy!, och! wówczas niepodobna nie upaść. Wszystko upadnie. Ojciec, nie zdolen ogarnąć tych

cierpień, wierny danemu słowu, złoży nieszczęście moje na ołtarz. Może twoje słowa powstrzymają zapęd jego honoru. Wszelkie prośby z mej strony okażą się daremnymi — więcej nawet, zbrodnią. Może tobie, matko, uwierzy. Niech się nie wprzęga w jarzmo danego słowa. Więcej znaczy być ojcem niż z ojca stawać się katem. Widzę, przeczuwam — on ojciec, gotów zawlec mnie przed ołtarz, — lecz niechaj zamiast przygotowań do uroczystości weselnej, ograniczy się na przysposobieniu dla mnie krzyża i całunu. Strój ten i taka ozdoba, będą koniecznymi.

MARGARITA. Poświęcę się cała za ciebie. Ale, czy zwyciężym?... Nie znasz zwyczajów wieku, w którym się zrodziłaś. Powinnabyś żyć w innym, a przynajmniej w ukształt ceńszym wieku. W tych czasach żelaznych, w których za pierwszym ujrzeniem światła wita rycerzów! wojna, wdzięki dziewicze uważane są jako ptak o piórach powabnych, przeznaczony dla rozrywki, a przyjaźń, krew i miłość idą na ofiarę krwawemu bożyszczowi, nazwanemu: honorem! W myśl wyroków ich alkoranu, hańbą byłoby poprawiać się w błędzie. Musiałabym dopiero zedrzeć tę skorupę z serca twojego ojca, i przywrócić mu pierwotne uczucie rodzica, które niestety od lat dwudziestu zbiegło za wojenną wrzawą.

IZABELLA. A wpływ, a urok twoich przymiotów serca, nic tu nie pomogą?... Iluż cudów niedokazały twoje zabiegi? Ach, gdybyś go tylko błagać zechciała — może pomyśli, że Bóg przemawia przez usta twoje. Wysłucha cię — przemów tylko.. spróbuj przełamać jego wolę. Pomnij że stawasz w obronie zbawienia mej duszy — inaczej, kłątwa i zbrodnia legną na mej głowie. Zostanę żoną Rodryga — ale, czy nie skonom?... Opatrzności! nie stawiaj mié wówczas przed obliczem tego którego wiesz jak kocham!... i nie pociągaj mnie przed sąd Sprawiedliwego, jeżeli w końcu, w rozpacz piekielnej, przesyje sztyltem pierś Rodryga —

MARGARITA. Dość, dość, Izabello. Przestań! Użyj mej władzy. Rodryg nie zostanie twoim mężem! zniweczę przyrzeczenie ojca, wysłucha mnie i zapobieży straszny następstwow. Spróbuję być matką.... ach! bo dotąd być nią nie mogłam!

## Scena 7.

*Ciż, Marja Gomez.*

MARJA. Pani! don Rodryg, don Rodryg!

MARGARITA. Don Rodryg?

IZABELLA. Nachodzi nas w takiej chwili —

MARJA. Prawda, nieubrane, nieuczczane tembar-dziej gdy się już na śmierć zapracowałam. Pobiegnę po służącego.

MARGARITA (do Izabelli). Oddal się — przebierz się. Usiłuj zebrać wszystkie myśli.

IZABELLA. Nie zapominaj o mnie, matko (wychodzi).

MARGARITA (do Marji). Poproś go.

MARJA. Natychmiast (chce odejść — wraca). Myśle przygotować dla Izabelli suknię, którą ja bardzo lubię. Dziewczęta skromne przyobleką się w szaty świąteczne i zapalą światła, gdy małżonek nadejdzie, mówi Mateusz św. w rozdziale 25.



MARGARITA. Ależ idźcie Marjo.

MARJA. Tak mówi Pan w przypowieści o oblubienicach (wychodzi).

### Scena 3.

*Margarita. — Rodryg.*

(Marja wraca z nim, podaje mu krzesło i wychodzi).

MARGARITA. Panie Rodrygu.

RODRYG. Pani — widzimy się na koniec.

MARGARITA. Bądź łaskaw usiąść. Wypocznij w tym domu. Pośpiech, z jakim zdążyłaś, aby nas odwiedzić, nie dozwolił ci odpocząć w twoim.

RODRYG. Korzystajmy z chwil, w których się znajdujemy sami. Nim zobaczę Izabellę, chciałbym dowiedzieć się od pani, co sądzisz o stanie jęj serca, i moich nadziejach? Wiele zmienić się mogło pod moją nieobecność.

MARGARITA. Mało mam do opowiedzenia. Uszanowanie nie dozwala córce wynurzać się przed matką w tym przedmiocie.

RODRYG. Ale matka przezorna uważa i wykrywa.

MARGARITA. Izabella chorowała przez cały ten rok. Jęj powierzchowność przemówi za pierwszym rzutem spojrzenia. Słabość jęj może jest najgłośniejszym źródłem jęj melancholii — jęj smutku, lecz —

RODRYG. To ma znaczyć, że mogę znaleźć zmianę na twarzy, ale nie w sercu.

MARGARITA. Tłumaczysz pan wyrazy moje...

RODRYG. Według ich istotnego znaczenia. Czego tu przeczyć? Jeżeli pani nie robiłaś postrzeżeń pod nieobecność moją, to ja czyniłem je z méj strony, i według nich przemawiam. Pisywałem listy do Izabelli — i na żaden mi nieodpowiedziała. Posyłałem jęj kosztowności — wiem że ani razu w nie się nie przystroiła. Nigdy nie dosiadła dzielnego rumaka, któremu jęj przysłał ostatnią razą, i ręce jęj nie dotknęły kołczanu, który wraz ze strojem do polowań odemnie pochodzi.

MARGARITA. Wiesz pan, że polowanie nie sprawia jęj przyjemności —

RODRYG. Dozwoliła rozlecieć się sokołom — rozpuściła sforę psów — materje kościołom porozdawała, kosztownościami obdzieliła ubogich. Nie martwi mnie te czyny — owszem przyklaskuję im. Dowodzą niestety prawdy nazbyt bolesnej, o której jestem przekonany od lat sześciu, Izabella mnie nie kocha.

MARGARITA. Pozwól tedy udzielić sobie rady przyjacielskiej. Wiem, że płeć nasza pozbawiona jest głosu poza obrębem przedziwa i szycia, lecz jako kobieta i matka, mam słusne prawo spodziewać się po rycerzu, że mi wybaczy.

RODRYG. Najśluszniej. Nadto, obowiązany jestem szanować panią z jednego tytułu więcej. Mów pani.

MARGARITA. Don Pedro ofiarował panu rękę moją córki, lecz czyliż delikatność uczuć pańskich, wyższość jego umysłu, i miłość własna, zadawałaby się posiadaniem niewiasty, której serce, jak sam wyznajesz, nie należy do pana? Jakaż rękojmiej szczęścia daje małżeństwo, ugruntowane na tak wątpliwej podstawie? Miłość Izabelli wybiegła już poza

zwykłe granice — już za późno! aby nastąpiło w niej przeobrażenie, i ujrzyś dogorywającą niemal, ujrzyś ofiarę smutku tem gwałtowniejszego im bardziej tłumionego. Pomnij panie, że będziesz złorzeczyć swemu postanowieniu. Zazdrość i zgryzoty zawładnęłyby tobą — niezgoda, zawiść i piekło okrażałyby życie wasze.

RODRYG. Co za złowieszczą wróżba! Szczęściem, że ją łagodzi sam przykład pani. I pani kochałaś pierwój, zanim zostałaś żoną don Pedra — a wszelako byłaś wzorem kobiet —

MARGARITA. Te pochwały...

RODRYG. Wiem pani, o ile zasłużyłaś na nie — i spodziewam się po twój córce, cnót jeszcze świetniejszych. Lecz porzućmy te myśli. Pozwól pani przedłożyć sobie kilka uwag. To pewna, że Izabella nie kocha mnie — lecz kogóż kocha właściwie? Jaką istotę, czy marę nieujętą.

MARGARITA. Lecz gdyby Marsylia powrócił na czas?

RODRYG. Myślisz pani, że to skłoniłoby mnie do ustąpienia? O, mylisz się pani. Marsylia przyobieczał wyrzec się swoich roszczeń szalonych, jeżeliby w terminie sześciolatnim nie nagromadził umówionej ilości bogactw; lecz co do mnie — nie przyobiecywałem żadnych ustępstw. Azagrowie nieumieją cofać się. Jeżeliby Marsylia powrócił miał, to szpada rozstrzygnie nasze prawa.

MARGARITA. Sądzę, że tu rozstrzygać może tylko wola mojego męża. Nieda on sobie wydrzeć prawa do córki.

RODRYG. A któżby mi wzbronił uwolnić się od przeciwnika? Lecz, to są groźby niewczesne. Gdybym był przeświadczony, że wola Izabelli jest nieodwołalna, że złączona zemną związkiem ołtarza, niezdolna siłą cnót swoich skłonić się do wypełnienia tego co zaprzysięże, wówczas zapewne nie posunąłbym się ani o krok dalej w roszczeniach. Ale postanowienia ulegają przemianom, rozsadek odzyskuje swe rządy, uczucia kamienieją, wygasają.

MARGARITA. Ach, don Rodrygu, uczucie liczące tyle lat istnienia...

RODRYG. Powinno dla tego właśnie dobiegać coraz bliżej do kresu.

MARGARITA. Więc trwasz przy swoim?

RODRYG. Nieodwołalnie. Serce takie jak Izabelli, to cud istotny, to feiks swojego czasu. Jakże go nie uwielbiać, nie pożądać?

MARGARITA. Lecz, — napotkawszy niezwalczoną przeszkodę...

RODRYG. Wola niezłomna niezna przeszkód. Nie dopuszczę, aby po sześciu latach wyszydzone moje nadzieje. To postanowienie urosło do stopnia sprawy honorowej, a z takiej potrafi Don Rodryg do Azagra wyjść zwycięzko.

MARGARITA. Będzieżto słusznem poświęcić szczęście córki dla pańskiej próżności?

RODRYG. Poświęcałem się dotychczas jęj kaprysom — wymagam zrównoważenia poświęceń. Nie żądam niczego, co do mnie nie należy. Izabella nie może rozrządzać sobą. Rodzice przyrzekli mi jęj rękę. Obietnica przenosi ją na moją własność — Izabella jest moją!

MARGARITA. Nie jest nią—ani nią będzie. Przykro mi Don Rodrigu, że ci powiedzieć muszę. Jeżeli odważysz się na krok zuchwały, usłyszysz u podnóża ołtarza, wykrzyk: „Nie“ który cię zbęcześci.

RODRYG. Próżno liczysz pani, na skuteczność przełożeń swoich. Usta, które jedynie tylko przez panią podburzone, odważyłyby się wymówić to: „Nie“ są dla mnie świętymi. Izabella jest bożyszczem mojem. Wszystko, a nawet pogarda, są u niej godne poszanowania. Lecz jest ktoś, kto chce mi wydrzeć to bóstwo z méj świątyni.

MARGARITA. Don Rodrigu!

RODRYG. Odmowa pani, poburzyła mi krew. Lecz nie zastałaś mnie nieprzygotowanego. Nienawidzony przez nią postarałem się w Monzon o pisma polecające do Pani, które sądzę że nie chcesz spuścić z uwagi.

MARGARITA. W Monzon? jakto wytłumacz pan!

RODRYG. Wiadomo pani że kawalerowie zakonu Templarjuszów mieli obowiązek strzeżenia króla w téj twierdzy. Więc pewien templarjusz...

MARGARITA. Templarjusz?

RODRYG. Zaprzyjaźnił się ze mną od czasu przybycia mego do zamku. Wypowiadałem się przed nim z miłości méj niefortunnej, a on.

MARGARITA. A on...

RODRYG. On mi się zwierzył ze swojej. Odkrył przedemną iż powołała go skruca do zakonu—pragnienie odpokutowania 'za zbrodnią, której źródłem była miłość. Z różnych wyrażań jego, które pochwyciłem, mogłem wywnioskować że uwiódł.

MARGARITA. Kogo?

RODRYG. Osobę z tego miasta.

MARGARITA (na stronie). Drzę.

RODRYG. Przyjaciela mego charakter był ponury, milczący, melancholijny. Poznałem że pożerały go smutki, robak zgryzoty. One to niewątpliwie przymusiły go, przywdziać tę szatę niezwykłą i niebezpieczną. Zajmowaliśmy jedną celę. Wstawał wielokrotnie o północy, przerażony. Przechadzał się po izbie walcząc z myślami—błagał, jęczał, rozmawiał. Wstawałem by pocieszać go, rozrywać i widziałem oczy jego przywarte, twarz milczącą—on spał. Odzyskując zmysły po gorączce tak okropnej, ucinął mowę słowy niepowiązanymi, obudzającemi litość i zgrozę. Nie ufając pokucie swojej oskarżał się o związki z osobą zamezną.

MARGARITA. Ach!

RODRYG. Widział piekło roztwarte, pochłaniające go. Usiłował rozgrzeszyć się, wymieniał współwinną.

MARGARITA. Kogoż wymieniał?

RODRYG. Nazwisko, którego nigdy nie mogłem dosłyszeć.

MARGARITA. Ach!

RODRYG. Nakoniec wyjechaliśmy obadwaj z ważną wyprawą. Stronnicy hrabiego don Sonoza, wyszli zwycięzko, ale biedny Roger de Lizana.

MARGARITA. To on!

RODRYG. Poległ. Czyś pani wiedziała o tem?

MARGARITA. Tak—wiedziała (na stronie). Odycham.

RODRYG. I nie zabolał cię zgon jego, zgon najszczytniejszy!

*Odbitka z Tygodnika Mól.*

MARGARITA. Przez litość, kończ pan!

RODRYG. Zdejmując zbroję z niego, aby pogrzebać go, znalazłem na sercu jego, listy.

MARGARITA. Listy?

RODRYG. Wachalem się czy je pogrzebać wraz z trupem... i zachowałem je! Potem odczytałem je—chciałem zniszczyć je—i zaniechałem tego. Teraz przedstawiam je pani (rozwiija jeden pargamin).

MARGARITA. Miłosierdzia!

RODRYG. Czytaj! Margarita przemawia tam! Margarita tam! Margarita we wszystkich.

MARGARITA. To moje! jam jest—jam współniczką. Och! oddaj mi je. Zniszcz! potargaj je!

RODRYG. Zachowałem je dla pani. Doręczę je pani w chwili, w której mi oddasz rękę Izabelli.

MARGARITA. Sprzedajesz mi je za cenę nieszczęścia méj córki!

RODRYG. Szczęście lub nieszczęście ze mną, dość że córka pani, mniej obłudna, będzie więcej czczoną niżeli ty. — A ja, jeżeli żyje przeciwnik mój, będę czujniejszy niżeli Don Pedro. Jeżeli Izabella mnie nie kocha, obejdę się bez jęj miłości, a ta szpada odpowie mi za jęj prowadzenie się. Albo użyj całego wpływu swego aby ją uczynić moją, albo zdecyduj się do ujrzenia pism tych w rękę męża swego. Namysł się i wybieraj. (wychodzi).

MARGARITA. Miłosierny Boże!.

Koniec aktu drugiego.

### A K T III.

S a l a.

#### Scena 1.

*Maria-Gomez potem Zulima.*

MARJA GOMEZ (oparta o balkon mówi na ulicę). Bądź pozdrowiony przychodniu!.. Jakto? Pytasz czyli pozwolę wam odpocząć chwilkę? i dwie i cztery i tysiąc gdy chcecie. Jakżeś nieświadomy, gdy prosisz o gościnność. Galwanie! Héj, potrzymaj za strzemień. Piękny rycerzu, powierz naszemu germkowi broń twoją. Zsiądź, (oddalając się z balkonu) Olaliol!.. Cudzoziemiec śliczny jak cherubin. (wchodzi izdebna). Szybko przekąski i wino! (do służącej odchodzącej) Owoce, chleb i wodę. Nie widziałam w życiu mem szlachetniejszej twarzy młodzieńczej. Nawet ja sama nie byłam tak powabną ówczas kiedy będąc młodzieuchną opuszczałam klasztor, (wchodzi Zulima w stroju rycerza aragońskiego, okryta kurzem i wzruszona). Zbliż się tu — spocznij — twarz obla-na karminem, jak gdyby zaduszonego. Zamykam okno bo rwą przeciągi (zamyka drzwi balkonu — odchodzą odedrzw. — Spuszcza zasłone nad drzw. oknami). Gdybyście zaslaliby byłoby to bolesnem dla mnie.

ZULIMA (na stronie). Wstąpiłam w jej prog.

MARJA. Przybywacie właśnie, gdy państwo moi nie obecni.

ZULIMA (na stronie podnosząc się) Przekleństwo!

MARJA. Została tylko moja młoda panna.

ZULIMA (n. s.) Jestem szczęśliwa!

MARJA. Lecz mamy rozkaz przyjmowania każdego przychoźnia. (Wchodzi służba niosąc talerze, puchary, wazy z cyny i t. d. te stawiają na stole przyległym do krzesła na którym spoczywa Zulima). Więc przyjmij ten skromny posiłek. Kawałek wędliny i kropla napoju (Zulima chwytając namiętnie za puchar i pije). Aj! to jest woda! Nie pij! na świętego Augustyna! Co uczyniłeś nieszczęsny! woda, a tak spocony... Chcesz się tem zabić.

ZULIMA. Palilo mnie pragnienie.

MARJA. Ucz się żyć. Ojciec wikary, słyszałam jak nieraz powtarzał święte słowa, że to grzech, przenosić wodę nad wino. Przejeżdż cokolwiek.

ZULIMA. Nie dla jadła przybywam tutaj (chodzi niespokojnie).

MARJA. Spoczniej przynajmniej. Co za niespokojność? Co za ruchy gwałtowne? Jak zdradza krew młodzieńcza, tą żywością?

ZULIMA. Czy wasza panna, pozwoli złożyć sobie uszanowanie?

MARJA. Dla czego nie? Nic nie sprobujesz?

ZULIMA. Czy mogę widzieć ją?

MARJA. Chciałabym służyć ci młody rycerzu, jesteś grzeczny i przyjemny, lecz to czego wymagasz, moja pani jest panną i bez obrazu przyzwoitości.

ZULIMA. Niewolnico — Przywołaj ją — idź precz.

MARJA. Ja niewolnica? Wyglądamże tak, jak gdybym przybyła z Maroku lub Algerji? Jestem wolna szlachcianka i chrześcianka z rodu.

ZULIMA. Któżby wątpił?

MARJA. Jam niewolnica? Kiedy św. Jakób przybył aby nawracać pogan, już Gomezowie byli tak chrześcianinami jak nim był król izraelski Dawid.

ZULIMA. Lecz...

MARJA. I dzięki niebu, nigdy nie było w rodzie ich, ni maura, ni poganina, nie było heretyka, ani manichejczyka, ani waldeńczyka, ani albigena. Żaden niepotrzebował przywdziewać włosienicy, za błędy kacerskie. Nazwał mnie niewolnicą!

ZULIMA. Przebac mi, żyłem w kraju, w którym istnieją niewolnicy.

MARJA. Wracasz z Palestyny? Miałam właśnie to powiedzieć. Odgadłam to zaraz z twój twarzy, masz ją, jak wszyscy przybyszący z tamtąd. Czemu zamilczałeś o tem? Zawsze przystoi słuchanie opowiadań o walkach z tym ludem pogańskim, i pofolgować wolno rygorowi z jakim zachowywane bywają przepisy, względy przyzwoitości niewieści, a to przez wzgląd na tego, który cierpiął w owej krainie, którą podobało się Zbawicielowi obrać za kolebkę swą i grób (do wychodzącej służącej) Poproś pannę Izabellę co prędzej. Ujrzyś serafina z oblicza i przymiotów.

ZULIMA (na stronie). Dopięłam celu.

MARJA. Bo i jakże mogłaby inną zostać, dobrzy rodzice... ja zaś byłam jej ochmistrzą.

ZULIMA (na str.). Nie wątpię o przymiotach jej, skoro zdołała cię zcierpieć (wychodzi druga służa).

## Scena 2.

Ciż. — Izabella.

IZABELLA. Bóg z wami rycerzu.

ZULIMA. I z wami, o co go proszę. (na str.) Więc to rywalka moja!

MARJA. To nasza panna.

ZULIMA. Zbyteczne zawiadomienie (na str.). Krew moja już mi to powiedziała. (do Izabelli). Wdzięczność za życzliwe przyjęcie doznane w domu waszym, nie dozwoliła mi, porzucić go, bez złożenia podziękowania. Dla tego ośmieliłem się.

IZABELLA. Gościnność będąca obowiązkiem wszystkich arragończyków, jest nadto ze strony rodziców moich wypełnieniem pewnego ślubu. Więc nie pozostajesz nam nic dłużeń.

ZULIMA (na str.). Śliczną była.

IZABELLA. Mogę wiedzieć z kąd powracasz?

MARJA. Z ziemi świętej?

IZABELLA. Z ziemi świętej?

ZULIMA. Tak. Dawno już temu jak opuściłem Hiszpanię (na stronie). Jakież wzruszenie w jej twarz?

IZABELLA. Powiedz mi... a żali nie poznałeś tam jakiego rycerza z tych okolic.

ZULIMA. Z Teruelu? znałem jednego.

IZABELLA. Czy przypominasz sobie nazwisko jego?

ZULIMA. Ramiro Montalvan.

IZABELLA. Montalvan? Rodziny z podobnem nazwiskiem nie ma w Teruelu.

ZULIMA. Ach! to było imię jego przybrane. Prawdziwego, nie znałem długo — aż nareszcie niedawno... nazwał się potem... don Diego...

IZABELLA. Marsilia?

ZULIMA. To jego nazwisko.

IZABELLA. Nie! Bóg chyba zesłał cię do Teruelu. Powiedz mi rycerzu — powiedz. Gdzie pozostawiłeś Marsilię? Jak dawno rozstałeś się z nim? Jakie było wtedy położenie jego? Na Boga! Opowiedz mi!

ZULIMA. Ach — teraz rozważywszy iż on z tego miasta pochodził... Nie zapytałem... czy jestem w domu jego, czy jesteś siostrą jego.

IZABELLA. Nie, nie, to nie jego dom. Nie jestem siostrą jego ani krewną, lecz los jego obchodzi mnie wielce!

ZULIMA. Uważam to. Nikt nademnie niemógłby zwiastować ci lepszej wieści o nim.

IZABELLA. Bóg ci je wynagrodzi.

ZULIMA. Marsilia obciążony bogactwami i zaszczytami nabytymi w Palestynie, wsiadł na okręt płynący do Hiszpanii.

IZABELLA. Jakto? przybywa tu? Już powraca?

ZULIMA. Odplynął — temu jest bardzo dawno.

IZABELLA. Odplynął już dawno, powiadasz już dawno? I dla czegoż nie przybył jeszcze do Teruelu? gdzie się zatrzymał? Nie powiedziałeś że został bogatym? Zdaje mi się żeś to powiedział.

ZULIMA. Jeden z przyjaciół jego, umierając w Syrii mianował go swoim spadkobiercą.

IZABELLA. Ach! powinien był natychmiast wrócić do Hiszpanii.

ZULIMA. Nie uczynił tego z powodu, że za powrotem dostał się do niewoli w pustyni Walencyjskiej.

IZABELLA. Och nieszczęście! został jeńcem!

ZULIMA. Teraz... wydobył się już z niewoli.

IZABELLA. Przywracasz mi życie. Dokończ.

ZULIMA. W czasie niewoli jego w Walencji, szlachetność jego i ujmujące obejście zjednały mu łaski małżonki królewskiej.

IZABELLA. Co mówisz? Maurytanka pokochała go. Kobieta zamężna! Co za sromota. Lud bez czi i wiary. I ta kobieta była piękna? Powiadają że maurytanka Walencyjskie są cudownie piękne. Lecz on — on jęj nie kochał.

ZULIMA. Nie — to zaprzysiądz mogę, że nie kochał jęj. Przebywałem czas pewien w Walencji. Powracam ztamtąd właśnie. Wiem o tem że wzgardził, odrzucił miłość Sultanki.

IZABELLA. Spodziewałam się tego po jego sercu.

ZULIMA (na stronie). Zarozumiała. Jak się pyszni!

IZABELLA. Rycerz chrześcianin miałżeby uleść pokusom nieprzyjaciółki jego Boga. Byłoby to nie do uwierzenia.

ZULIMA. Zapewne, tembardziej, gdy Marsilia żył miłością w Teruelu.

IZABELLA. Wiedziałżebyś?

ZULIMA. Tak — wiedziałem to od niego. Czy znałaś kochankę jego. Jestże powabna?

IZABELLA. Nie — rycerzu. Piękność nie zdoła oprzeć się nieszczęściu; a kochanka Marsyiego była bardzo nieszczęśliwa. Dawniej, najpiękniejsze jęj towarzyski zazdrościły, niecierpiały jęj; dzisiaj wszystkie kochają ją, litują się.

ZULIMA. Cierpienia jęj dowodzą, że była godną miłości Marsyiego. Pożądając połączyć się z tą którą ubóstwiał, wystawił się na wściekłość gniewu obrażonej sultanki.

IZABELLA. Co? byłżeby zdolny uleść jęj?

ZULIMA (na str.). Sama poddaje mi (do Izabelli). Czy sądzisz, że tak jest łatwo oprzeć się wdziękowi pięknej królowej błagającej i grożącej.

IZABELLA. Zdrajca! podła niewiasta. Nikczemna!

ZULIMA. Czy uwierzyłabyś, że tylko żądza odzyskania wolności mogła go popchnąć do tego kroku? Nie było środka innego. Miałem ówczas właśnie wyjechać z Walencji. Rodak twój miał mi towarzyszyć; ale przeznaczenie jego inny wzięło obrót. Sam tylko pierścień jego przybył tu ze mną.

IZABELLA. Pierścień. Gdyby to był... lecz dalej..

ZULIMA. Dalej — król odkrył zdradę swęj małżonki.

IZABELLA. Nieba!

ZULIMA. Wedle przepisu praw tamtejszych skazano ich oboje na śmierć.

IZABELLA. Na śmierć! Wielki Boże!

MARJA. Też to są wieści dobre które przynosisz.

ZULIMA. Chciałem powiedzieć, wieści pewne, niewątpliwe (do Izabelli). Zresztą co do ciebie, nie mogą one mieć wiele interesu. Nie jesteś krewną Marsyiego, ani oblubienicą jego. Kochanka jego, jak powiedziałaś nie jest piękna, a ty jesteś jak najpowabniejsza. Cóż może cię obchodzić to, co położyło kres cierpieniom jego?

IZABELLA. Święty Boże. (omdlewa).

MARJA. (utrzymując ją.) Pani! pani (do Zulimy.) Co uczyniłeś? Ota!io! Zimeno! (służące wchodzą) wody, wody, ratujcie! Jezus, pomóżcie!

ZULIMA. (na str.) Chrześcianka umie kochać, ja umiem wycęć — umiem mścić się.

MARJA. Izabello! (do sług). Podaj tu — zwilż twarz jęj — natrzyj skronie. (do Zul.) Nie mógłśes poznać z kim rozmawiasz?

ZULIMA. Nędzna! a ty wiesz do kogo mówisz?

MARJA. Nie przychodzi do siebie!

## Scena 3.

*Ciż Margarita.*

MARGARITA. Cóż to? co się stało? Córko moja!

MARJA. Ten rycerz — wstąpił w progi nasze w złowrogięj godzinie.

ZULIMA. Prawda. Przypatrz się skutkom nierozwagi mojęj. Oznajmiłem córce pani, nie wiedząc kto ona jest, o śmierci Don Diego Marsylii?

MARGARITA. Marsylii?

ZULIMA. Teraz dopiero ujrawszy ją omdlewającą poznaję, że to jęj samęj doręczyć miałem pierścień powierzony mi w Walencji przez Marsyiego. (Izabella czyni poruszenia, Margarita bieży do nięj unikając Zulimy). Niechaj tu zostanie. (Kładzie pierścień na stole). Wybaczcie mi, że tak nieszczęśliwie wypełniłem poselstwo moje... Bóg z wami! (wychodzi).

MARJA. Tysiąc szatanów z tobą.

## Scena 4.

*Margarita. — Izabella. — Marja.*

MARGARITA. Izabello! Izabello moja!

IZABELLA. Matko — czy jest tu matka moja?

MARGARITA. Jestem droga Izabello — nabierz sił

IZABELLA. Matko! on umarł — umarł.

MARGARITA. Córko nieszczęśliwa!..

IZABELLA. Umarł — bo zdradził mnie. Przeniewierca!

MARGARITA. Uspokój się na łonie mem. Niech przynajmniej lży moje pomieszam z twojami.

IZABELLA. Umarł — wszystko skończone! Zagaśla nadzieja, nie mam już żyć dla kogo. Musiało stać się tak. Jaktó! rzucając się w objęcia żony królewskiej, nie pomniał że wyzywał gniew niebios; tych niebios, które już ówczas srożyły się przeciwko nam, kiedyśmy byli niewinni! Biedny!..

MARJA (do Margarity). Miłośnicą była żona króla Walencji.

MARGARITA. Niebo podając ci ten kielich goryczy udzieli ci także sił, do spełnienia go. Staraj się uspokoić.

IZABELLA. Uspokoić? Kochaj przez lat dwadzieścia, kochaj przez całe życie, żyj samą nadzieją dostąpienia miłości prawęj, utracić za jednym ciosem,



wszystkie złudzenia życia i duszy, poznaj, że ubóstwiałaś zdrajcę — przeniewiercę i potem uspokój się, bądź dobrej myśli. Powiedz morzu, aby rozfałdowało się w zwierciadło, podczas gdy dmie wichher najwścieklejszy. Umarł z miłostek z niewierną! Posłaniec złowrogi oddalił się z tych miejsc, nie czekając wyjaśnień. Chciałabym tysiące jeszcze zadać mu pytań, niech mi natychmiast rozświeci wątpliwości. Przywołaj go — przywołaj — Marjo!

MARGARITA. O! i ja pragnę go wybadać. Idź — poszukaj go.

MARJA. Nie rozpaczaj Izabellito. Kto to wie? Wiek tego młodzieńca, ton lekkiego szyderstwa — pewne pomieszanie, które zdawało mi się dostrzedz w jego postaci. Wszystko nasuwa mi podejrzenie, że on oszukał nas. (odechodzi)

IZABELLA. Nie, nigdy złe wieści nie bywają fałszywymi. On nadto mówił coś o pierścieniu.

MARGARITA. Złożył go tutaj (daje jej)

IZABELLA. Widzisz kochana matko. To był mój pierścień. Pamiętam, dałam go jemu w przeddzień odjazdu. On przyobieczał mi, nie rozłączać się z nim nigdy. Jeżeli w pośród bojów, na które pośpieszam (rzekł naówczas) poniosę śmierć, wtedy zwrócony ci zostanie ten znak zbroczony krwią moją. Przyjaciół czy wróg, nie braknie takiego, podejmie się doręczyć go tobie. I otóż złożył go w ręce moje — a teraz mogę powątpiewać o jego śmierci?

MARJA (wchodząc). Wsiadł na koń i wyjechał ztąd — będzie już poza miastem.

MARGARITA (na stronie). Nie wiem co wnioskować z tego. Wyjdź Marjo Gomez.

MARJA. Powtarzam że młokos ten, wyglądał na oszusta i człowieka złych zamiarów. Święte są słowa ojca wikarego: Meliora sunt ubera tua vino. Czort bierz tego kto wino nie pije. (wychodzi).

## Scena 5.

*Izabella. — Margarita.*

IZABELLA. Skoro don Diego niewierny więc już nie ma wiary na ziemi. Czyż uwierzyłaś temu... matko? Ja... ja nie wierzę... nie uwierzyłam oczom moim chociażby patrzyły. Tak — to niepodobieństwo, gdyby mnie był zdradził, przeczułaby to pierś moja. Nigdy — ani chwilki, nie podejrzewałam stałości jego. W tem maskuje się niewątpliwie jakaś tajemnica. On kochał mnie, cóż to pomoże? on umarł?

MARGARITA. Droga Izabello!

IZABELLA. Niech przyjdzie — niech przyjdzie don Rodryg. Niechaj żąda ręki mej. Oczekuję go niecierpliwie. Tak jest — ażeby umrzeć! to mi już wystarczy.

MARGARITA. Lecz rozsądek.

IZABELLA. Z jakąż pychą ujmie Azagra za moją dłoń. Już jesteś moją! zawoła — daremny był opór twój, daremna wzgarda; miłość twoja musiała ukończyć się przed gwiazdą moją. Pogardziłaś mną, znienawidziłaś, a dziś ulegasz tej samej władzy, którą wzgardzałaś. A jeśli lży trysną na lica moje, rzeknie on: Wstrzymaj te lzy, bo one obrażają mój honor —

i będę musiała powstrzymać je. A kiedy zapragnę westchnąć rozkaże stłumić westchnienie i wyglądać będę jakby napiętnowana namiętnością zbrodniczą. I stanie się to. Nie! Odwaga! Jednem słówkiem uniknę tego — iżby mnie nie mógł nigdy oskarżać.

MARGARITA. Jaktó? Widzisz, że teraz żadna nie zasłoni cię wymówka.

IZABELLA. Przemówię do don Rodriga. Powiem mu stanowczo. Jeżeli sądzisz, iż znajdziesz szczęście, gdy zmusisz mnie zostać twą małżonką, wiedz, że w pierś mej zamieszkują gorycz i żaloba. Czytaj z tej twarzy powieści, i złośliwej, z tych oczu zakrytych ciemnym obłokiem boleści, z tych ust na których ciągle spoczywa żaloba, i z tej postaci przygnębionej cierpieniem, poznaj, czy to jest też sama piękność, którą dawnymi czasy w tysiącu pochlebnych wierszy ogłaszałeś za perłę Gwadalquivieru, za gwiazdę błyszczącą w Teruelu? Krew moja już się zepsuła, krąży pólun w mych żyłach. Pójdź, niechaj dłoń moja udzieli ci zarazę — pozyskaj w związku tak niedobranym, zamiast szczęścia, jedynie wstyd, wstręt, zgryzotę rozpacz gwałtowną, a z moim zgonem przedwczesnym, twoje wieczne nieszczęście.

MARGARITA. Czy śmiałażebys?

IZABELLA. Śmiałażebym? Powiedz mi, mogę lekkać się czego. Powiedz czy wątpisz aby zropaczony miał odwagę.

MARGARITA. Jeżeli ojciec rozkaże.

IZABELLA. Powiem — „nie“.

MARGARITA. Gdyby matka błagała.

IZABELLA. Nie!

MARGARITA. Na kolanach!

IZABELLA. Tysiąckrotnie — nie! Mogą, Bóg to wie, pochwyć mnie za włosy i powlec do kościoła, mogą katować ciało moje, mogą skępować je włosiennicą i wtrącić mnie do klasztoru abym tam zwolna dogorywała. Wszystko to może mój ojciec, ale przygwałcić usta moje do krzywoprzysięstwa. Nigdy!

MARGARITA. Temi słowy wydałaś wyrok na mnie obwieszczasz mi los mój. To nie ty ujrzyś się pogrzebioną z hańbą w celi klasztornej — to ja, ja tonąc we łzach, żebrac będę u ojca twego za łaskę największą aby przeszył serce moje — ale wiem iż odmówi mi tej łaski, bo słusznie abym cierpiała męczarnie powolniejsze i okrutniejsze.

IZABELLA. Ty? którą ojciec ubóstwia?

MARGARITA. Znienawidzi mnie, skoro Azagra okaze mu dowody niewątpliwe, że żona jego niewierna, odplaciła mu miłość jego, oszukaniem.

IZABELLA. Wielki Boże!



MARGARITA. Tak jest. Ułuda zwodnicza rzuciła żonę i matkę w objęcia kochanka, będącego pierwszą miłością moją. Przyszła chwila opamiętania, padłam u stopni ołtarza i pokuta twarda dziesięcioletnia została mi wskazana. Wypełniłam ją i dalej wiodę — ach! wieleż potem czyniłam! Gdybyś weszła do modlitewni mojej, gdzie nikt prócz mnie, nigdy nie powstał, gdybyś ujrzała ściany i podłogę zbroczone krwią moją, grubą nasiąkłą warstwą, och! możebyś uczuła więcej litości nad moją karą, niż oburzenia mą pychą. Zadowolniona pokutą — mniemałam że już zasługuję, aby wina moja pozostała w ukryciu, aż do dnia ostatecznego sądu. Osądź więc przerażenie moje, gdy w chwili kiedy nalegałam na Azagrę, aby rzekł się roszczeń swych do ciebie, przedstawił mi listy moje, pisane do współwinowajcy i zagroził mi, że je złoży do rąk ojca twego, jeżeli nie zechcesz zostać żoną jego.

IZABELLA. Więc jedno jeszcze nieszczęście przeważające nad nieszczęściem mojem (po chwili). Jest więc jeszcze ktoś, którego mogłabym uratować od ciosu cierpień.

MARGARITA. Ocalić mnie? Nie zasłużyłam na to. Cóż mi winna, byś miała ponosić dla mnie tę ofiarę? Wieczna surowość i powaga, jestem twoją matką, kochałam ciebie, a czyż doznawałaś kiedy pieśczęt moich — mojej miłości? Dopiero od wczoraj.

IZABELLA. O matko? Czy możesz powątpiewać o tem, co powinnam uczynić i co wypieścić? Tak — jakże jeszcze jestem wachająca się. Lecz cóż? Nie jestem córką? Czy matce mojej nie grozi niebezpieczeństwo? Czyliżem nie zdolna ją ocalić? Życie moje jest twojem — przyjmij je. Tak każe Bóg! tak każe natura (z trwogą) Zaślubić don Rodryga (z determinacją). Och! serce me, nie obawiaj się wieści wesółych, bo Marsilia nie żyje już.

MARGARITA. (na stronie) Och! wstydzicie!

IZABELLA. I zdradził mnie. Czyliż odstępstwo jego nie jest pewnem? (z nadzieją) Powiedz mi matko. On zapomniał o mnie pod nieobecność, i dla jednej maurytanki znieważył miłość, którą mnie był dłużen. Czyliż równie nie jest pewnem, że Azagra dusza jest podejrzliwa, zadrasna, gniewna i mściwa (z nadzieją radosną) że moje narzekania i żal, będą dlań nieznośnemi, że rozkazując napróżno, bym je tłumiła, wybuchnie wściekłością i zamorduje mnie! To moja cała nadzieja.

MARGARITA. Izabello — co za okropności!

IZABELLA. Przechowuj listy ukochanego, niechaj odczyta je. Posiadam je, i dnia pewnego, ujrzy je Azagra.

MARGARITA. Och! gdyby moje były tak niewinnemi!

IZABELLA. Niewinnemi! Tak jest, wszystkie tchną czystością. Namietność ta, nie ukaże się Rodrygowi w szacie nowej, lub zbrodniczej. Widzisz to matko! (pokazuje obraz) To są rysy jego oblicza, moja ręka ciężka, kreśliła niewprawnie te rysy, bez widzenia wzoru... tylko z wizerunku fantazji skrytej stale w mej piersi. Pozwól mi ucałować go po raz ostatni. Ostatni raz jeszcze tylko. Odbierz go, czynię ofiarę z siebie. Weź go — i oto jestem zimna oziębła, spokojna — jak grób. Naśladuj moją wytrwałość — moją spokojność, i nie prze-

*Odbitka z Tygodnika Mód.*

mów do mnie ani słowa więcej. Sława twoja, jest w ręku mojem, zachowam ci ją nieskazoną. Córką twoją będzie żona Azagra. Mniejsza o to, czem to opłaci. (wychodzi).

## Scena 6.

MARGARITA. Święty Boże co uczyniłam? Jestemże matką? Nie jestem nią. Słyszę tylko jeden głos serca, wołający na mnie. Nieszczęsna nadużyłaś cnoty Izabelli okrutnem samolubstwem, a to aby uniknąć własnej hańby! Jeżeli don Rodryg jest okrutny jakąż ja jestem, w porównaniu z nim? Lecz z kąd zaczerpię potęgi, aby rzec się owocowi lat piętnastu, który jakby podatek złożyłam pokucie? Stawię się przed obliczem mego męża i Aragonji z sromotną hańbą po zbrodni spełnionej? W nieszczęsnej godzinie uzyskałam tak rozgłosną cześć i szacunek. Poddawałam się z rozkoszą katuszom pokuty, i tylko myśli mej, ciężar ten dolegał; lecz teraz, za wyjaśnieniem wszystkiego, gdy świat rozchwyci wieść o mym błędzie, hańba i bezczesć więcej jeszcze udręczą męża mego. Co za cios okrutny! Zabije go boleść? Boże mój — żyłam bezpiecznie — a jeśli spełniam nowy występki dla zatajenia dawnego, ty panie będziesz widział, jak będę pokutować za niego. Zwierzyłam się przed Izabellą, jęj ukochany już nie żyje. Sam los następczył mi przedsięwzięcie tego kroku. Mogę siebie poświęcić, ale nie mego męża.

## A K T IV.

### ZMIANA I.

Mały gabinet Izabelli. — Drzwi wielkie w głębi, za otwarciem ich, widać w głębi długą salę. — Drugie drzwi małe na boku.

## Scena 1.

*Izabella. — Maria Gomez.*

(Izabella ustrojona bogato, siedzi obok stołu na którym stoi zwierciadło metalowe na postumencie. Marja zajęta strojeniem Izabelli, której ubiór świąteczny stanowi sprzeczność z jęj melancholią).

MARJA. Jakże zdaje się tobie przystrojenie głowy? Nic nie odpowiada i ani mnie słucha. Przejrzyj się — mówię ci, podnieś główkę — (Izabella wznosi głowę machinalnie i spuszcza ją nie patrząc) Acha! miliej ci spoglądać na te drzwi. Ocho! to dozwolone jest oblubienicy. Będąc tak rozłargnioną przed ślubem, będziesz później szczęśliwszą... No założmy naramiennik (chce śpiąć go, lecz wyslizguje się jęj ramię Izabelli). Ale, trzymajże ramię. Otóż — jak gdybym ubierała trupa. (zakłada dwa naramienniki kierując rękoma jęj dowolnie) Co się tyczy kołnierzyka — krótko z tem sprawa. (Podnosi jęj głowę — Izabella wzdycha).

IZABELLA. Ach!

MARJA. Zawdzielimy teraz zasłonę — tak może pozostać! Czegoż niedostaje? sądzę że już niczego. Widzisz. Wyglądasz ślicznie. Tylko że musiałam po

trzydzieści razy tracić cierpliwość — i to jeszcze ja! Ja która radabym przystroić cię jak obrazek święty — ja! która odbijam się w tobie, bo ozdobienie ciebie, to moje dzieło. Nakoniec doczekałam się dnia, w którym widzę cię przybraną, strojniejszą. Wznowisz zadość, które spoczywały pogrzebane od lat sześciu.

IZABELLA. (zadumana) Marsilia!

MARJA. (na stronie). Przebaczyć jej Boże (głośno). A teraz: nakładę do uszu Don Rodrygowi, co czynić powinien jako małżonek. Co niedzielną powinność nową zawdzięczać suknię. Powinnaś wypłacić zaniebanie się jako panna, starannością jako żona.

IZABELLA. Żona! (cuci się z marzeń. Patrzy na Marję — w zwierciadło — po sobie — skupia myśli — z uśmiechem melancholij) Ach! to ostatni ubiór mój.

MARJA. Najśodsze Imię Jezu! Libera nos a malo. Niechaj Bóg nie dopuszcza tego. Najserdeczniejsza Izabello. Bóg nie dopuści tego. Uczyni cię on tak szczęśliwą jak zasługujesz na to. Lecz otrząśnij się z tej zadumy. Wydajesz się albowiem jak winowajca rozmyślający o śmierci. Pomnij że goście weselni za chwilę nadejdą. A nie trzeba dawać im sposobności do plotek.

IZABELLA. (jakby zbudzona nagle) Która godzina?

MARJA. Wkrótce dzwonić będą uświętego Piotra. Jest to godzina o której don Diego Marsilia wyszedł z Teruelu przed laty sześciu — aż do wybicia godziny tej, pan mój nie może być uwolniony od swój obietnicy.

IZABELLA. Tak — o tej godzinie — o tej samej godzinie, wyjechał z ojczyzny swojej nieszczęśliwy Marsilia, aby nigdy do niej nie powrócić! W tej samej komnacie rozmawialiśmy, tam stałam ja: oczy moje skrapiały obficie łzami robotkę, tak jak teraz zwilżają moje szaty weselne. Spojrzenia moje zwracały się nieustannie na ulicę, którą miał jechać; chciałam ujrzeć go raz jeszcze. Wyszedł tedy, dosiadł rumaka zawróciwszy przed kratę okienka mojego. Wyszedł tedy przyodziany w rynsztunek, z lancą w dłoni, z szarfą na ramieniu, jako z ostatnim podarunkiem moim. Zatrzymał się tutaj. Tutaj przesłał mi ostatnie słowa pożegnania. Rzekł do mnie: „z tobą albo w grobie“. „Twoja lub umarła“ wykrzyknęłam, odchodząc od zmysłów, „twoja lub umarła“ powtórzyłam i z sercem ścieśnionem od żalości, upadłam bez pamięci na ten sam balkon, wyciągając dłonie ku połowie mój duszy, która uchodziła. Jego lub umarła! I otóż mam oddać rękę Rodrygowi. Wypełniam przysięgę należycie.

MARJA. Dziecię moje wydrzeć z pamięci, te myśli. Cóż to, mamże starać się pocieszać ciebie? Jesteś rozumniejsza odemnie, ja jestem tylko ubogą niewiastą. Dla przywrócenia pokoju duszy twojej, dla uszczęśliwienia ciebie, oddałabym resztę dni pozostających mi do życia, mniej o dzień jeden, dla tego, abym w nim widzieć szczęście twe mogła.

IZABELLA. Kochasz mnie więc bardzo Marjo! Czyż ci tak mocno dolega mój smutek?

MARJA. Dziecię moje? Małoż mam przyczyn do zmartwienia? Wszak urodzoną ja przyjąłam w objęcia moje, kołysałam kołyską twą, i lat 24, nieprzerwanych, mogły natchnąć mnie przywiązaniem! Któż więc nademnie pieścić cię i otulać. Któż matka więc pobażala córcę jak ja tobie? Nie przeszkadza-

zało to, bym cię i nie połażała. Tak Izabello — jak wypadło — ale jakżem cię burczała, strofowania moje podniecały twój śmiech. Gdzie tam ani śmiech ani płacz, najczęściej nie słuchałaś mnie wcale. I na honor! nie pozbyłaś się jeszcze tej brzydkiej wady. Miałaś we mnie drugą matkę, gdy ja miałam w tobie niemą uczennicę. Discipulis surdis — tak mawiał św. Paralipomen.

IZABELLA. Wybacz mi pocziwa Marjo, nie jestem niewdzięczna. Uściskaj mnie. Gdybyś wiedziała, jak jestem strudzoną, czuję ból, osłabienie — sił mi brakuje.

MARJA. Bóg z tobą! a pani naszój nie ma w domu, poszła do chorego — do syna Sędziego, którego rabusie poranili. Nie pomyślała że może tu być potrzebna. Pobiegnę co prędzej przywołać ją.

IZABELLA. A to na co? Cierpię ale na duszy. Któż wyleczy podobne cierpienia? Zdaje mi się, że w głębi mnie, wznosi się głos jakiś uwodzący, straszny głos nie pochodzący z mój woli, lecz wiodący ród zapewne z piekieł (Marja zagna się) który podżega mnie, abym zerwała, zdeptała więzy natury, wszystkie względny należne społeczeństwu, przepisy ustaw; abym wyrządziła krzywdę bliźniemu, abym nie przeszkadzała nieszczęściu, bo przeszkodzenie kosztuje mnie niesłychanie. Nie rozumiesz mnie Marjo, lecz jeżeli przypomnisz sobie ów rok, w którym zaraza toczyła swój rydwan wytopienia wzdłuż i szerz krajiny tej, w którym połowa Hiszpanji zatrudniała się kopaniem grobów dla drugiej połowy która wyginęła, gdybyś wyobraziła sobie tę okropną walkę wypowiedzianą sobie w ciele mojem przez śmierć i życie, w której walce śmierć ustąpiła zwyciężona, miałaś odległe pojęcie o umysłowej walce, którą znośzę, a której ciosy kaleczą mi ciało i której końca nie odgaduję sama.

MARJA. Dosyć! dosyć! biegnę po moją panią. Chociaż kazała powiedzieć, aby nie czekano na nią ze ślubnym obrzędem — jednak będzie to zawsze lepiej gdy ci zechce towarzyszyć do kościoła.

IZABELLA. Ach — dobrze — niechaj przyjdzie. Powiedz jej, iż jej obecność potrzebna dla mnie, że nie powinna odstępować mnie.

MARJA. Bądź spokojna, nie powrócę sama (wychodzi).

## Scena 2.

IZABELLA. (sama) Poprowadź mnie do ołtarza — o matko! zadyktuj mi, ustami swemi ten wyraz: tak! Powiedz mi, że jeżeli nie wymówię go, zadam ci śmierć — bo inaczej, nie wiem czyli go wymówię zdołam. W chwili, kiedy wysłuchałam tego nieszczęsnego zwierzenia, należało nie dając czasu do rozpoznania ogromu poświęcenia, oddać mnie Azagrowi. Dziś już przysto rozczarowanie, entuzjazm zlodowaciał; strudzona cnota odmawia powtórzenia poświęceń. Chociażbym powlokła się przed ołtarz, z oczyma wlepionymi w wizerunek cierpień mojej matki, z duszą pałającą żądzą uratowania jej, z ustami gotowymi do posłuszeństwa memu ojcu, jednakże wydrze się z głębi piersi moich wykrzyk „nie“ którego nikt powstrzymać nie potrafi, nikt ani nawet ja sama. Co widzę? Don Rodryg? (powstaje przy drzwiach bocznych.)

## Scena 3.

*Rodryg. Izabella.*

RODRYG. Przecież samą spotykam cię piękny a-niele! Zawsze gorzka pogarda, i umyślne stronienie pozbawiały mnie tego dobrodziejstwa. Drżysz Izabello. Racz usiąść.

IZABELLA. Przed panem moim?..

RODRYG. Przed niewolnikiem — słuszniej rzekła-bys. Piękność jest władczynią w królestwie miłości.

IZABELLA. Kłamliwe panowanie!

RODRYG. Nie sądziłem abyś wątpiła o mojej uległości szczerzej. Och Izabello! gdybyś raz mogła przejrzeć tajniki duszy mój!

IZABELLA (z ironią) Jest ludzką, piękną i szlachetną. Nie dawno temu, dowiodłeś tego.

RODRYG. Taką była zawsze gwiazda moja! Nie mogłem odstąpić jej bez przekrzywienia jej rysów. Znasz pani Azagrę, jako dumnego, mściwego, a wysłuchawszy mnie, ujrzyś wcale innym, aniżeli wyobrazić sobie mnie mogłaś przez przyzma twój niezasłużonej niechęci. Azagra, który ubóstwia cię, Azagra żyjący tylko dla ciebie, jest niepoznany przez ciebie, i dla tego przystoi nam obojgu, wytłumaczyć się obecnie.

IZABELLA. Jeżeli pan chcesz usprawiedliwić postępowanie swoje haniebne, nie zadawaj sobie trudu daremnie. Sądzę, że lepiej dla nas obojga będzie — milczeć.

RODRYG. Izabello: Sromota, śmierć i wieczyste potępienie nie sprawiają na nieugiętej duszy mój tak bolesnego wrażenia, jak myśl utracenia ciebie. Nigdy najjadliwszy język, nie mógłby rzucić mi przekleństwa okropniejszego nad te wyrazy: Nie zdołasz uzyskać Izabelli za małżonkę. Czy to matka moja, czy rywal mój, jeżeliby podźwignął się z grobu i którykolwiek odważny śmiertelnik, któryby poważił się stanąć pomiędzy tobą a mną ażeby mnie ukrzywdzić musi poledz pod moją wściekłością jako krwawa ofiara. Nie ma środka któregośbym nie pochwycił, gwałtu lub podstępu! byleby przywiodły mnie do ciebie. Potrzebuję posiąść cię, aby zostać cnotliwym. Chcieć wydrzeć cię mojej miłości, jest to zbliżyć mnie ku zbrodni i przygwałcić do jej spełnienia. Nie przerywaj mi. Chcesz bezwątpienia powiedzieć mi i słuszenie, że miłość objawiona w sposób tak gwałtowny, przestaje być namiętnością, a przeobraża się w okrucieństwo. Nie chciej malować mi miłości twój delikatnej, na moją hańbę. Już mi to usta twe wypowiedziały, choć mowy ich nie słyszałem. Czytałem wszystkie listy które Marsylja pisywał przez czas nieobecności. Wizerunek jego twój ręki, którego on nie widział, ja oglądałem. Nie ma tu ani jednego zamku od którego nieposiadałbym drugiego klucza.

Widywać cię, we dnie i po nocach — było jedynym mojem zajęciem. Uciekałem z Mozon, ilekroć razy obowiązek mój święty dozwalał tego. Widując cię dumającą po nocach na balkonie, miałem już nagrodzone trudy. Żadna inna dziewczyna nie była tak ubóstwioną od kochanka. Czyniłem olbrzymie wysilenia, ażeby potargać te kajdany, a-

żeby potrafić obejść się bez ciebie. Uwiedziony rojeniami obłądnych złudzeń, oczekuję z nadzieją przyjaznej chwili już od lat sześciu, i jeszcze dotąd nie mogę wyrzec, iż ona nadbieżała. Lecz już w przyszłości, nie może ona być dłużej daleką.

IZABELLA. Jakto, czy sądzisz, iż namiętność moja wygaśnie ze śmiercią Marsylji. O nie! trwać ona będzie, dopóki żyć będę.

RODRYG. Dobrze — kochaj Izabello i głoś to otwarcie — ale dumna tą miłością, choć ta drogo mi kosztuje, nie nazywaj mnie nigdy okrutnym. Skoro uczucie to miłości, którego wygłaszania nie ograniczam, zespala się z istnieniem twojem jako konieczność — ozywaj je. Ja zaś, ja moja droga! potrzebuję tylko nazwiska męża twego. Nie więcej oprócz tytułu. Na tem zakończę prośbę moją i żądzę. Cierpienia wszelkie ulecą odemnie, jak skoro tylko szczyć się będę mógł mianem małżonka twego. Zechcesz więcej — rozłączenia? Będiesz żyła w Teruel, a ja na dworze Aragońskim. Czy lekasz się samotności? Weźmiesz rodziców ze sobą i zmienisz najwięcej dom i sąsiedztwo. Nigdy bez twego pozwolenia, nie ujrzę twych boskich oczu. Ale udzielaj mi je przynajmniej często. Jeżeli nudzić się będziesz — powiedz. Rozządzaj grą, muzyką i polowaniem. Płaczesz, drogi klejnocie. Gdy płaczesz, cóż powie ci ten, który nigdy nie ronił łez w życiu swoim? Od urodzenia dumny byłem, bo los niewolniczo pochybiał zachceniom moim od lat dziecięcych. Stałem się niezłomnym, zakamieniałym, tyranem w wieku męzkim. Ale cóż czynić mam, gdy napróżno walczę z sobą samym. Miej litość, nad moją pychę bezrozumną. Ja przy twój przychylności, nie okażę się nieludzkim. Obadwaj nieszczęśliwi możemy ulżyć cierpieniom swoim, wzajemnem wybaczeniem sobie. A teraz chociaż pobierzemy się, czy będziesz mogła nienawidzieć mnie.

IZABELLA. Don Rodrygu! Don Rodrygu. (płacze)

RODRYG. Płaczesz? Czyli dla tego, że okazuję się godnym zostania przyjacielem twoim. Czyli nie dość zwosiłem ciężkie brzemie twój nienawiści?

IZABELLA. Och nie! nie! Serce moje nie umie pałać nienawiścią.

RODRYG. Hart duszy mojej pęka, gdy patrzę na bolesną twą. Ach te łzy! — ileż ich uroniłaś z mój przyczyny. Spójrz. Widzisz mnie u nóg swoich. Zwyciężyłaś. I zdołałam? Tak — rzuc rozbrat z ogromem cierpień. Zwracam ci wolność oddania mi lub odmówienia swój ręki. Rządź się, wołaj swoją. Jesteś wolną.

IZABELLA. Boże wszechmocny!..

RODRYG. Odbierz te papiery — odbierz, (kładzie pergaminy na stole). Ach! Niedostaje jednego. Zapomniałem. Zwrócę ci go. Przysięgam na honor aragońskiego rycerza że zamilczę o wszystkim. Nie! nie! Nie nie zaprzysięgałem. Skoro zgruchotany jest ołtarz, zbudowany przeze mnie moim nadziejom, chęć przynajmniej obudzać trwogę, a tak nie mogę rozbrajać się z mój broni. Idę niezwłocznie wstrzymać wszystkie przygotowania do zaślubin.

**Scena 4.***Izabella.—Don Rodryg.—Don Pedro,*

PEDRO. Goście weselni już schodzą się.

RODRYG. Niepotrzebni już, wszystko wstrzymane zostaje (wychodzi).

**Scena 5.***Don Pedro. — Izabella.*

PEDRO (ze smutkiem). Izabello!

IZABELLA. Ojcie drogi, nie rzucaj gniewnego spojrzenia na mnie, nie potępiaj mnie bez wysłuchania. PEDRO. Czy Rodryg odstąpił od postanowienia swego?

IZABELLA. Mnie pozostawił wolność.

PEDRO. To szlachetnie! Z tem wszystkim nie ty powinnaś rozstrzygać. Moja powinność los twój ustalić. Jako ojciec mam prawo rozkazać tobie, jednak przekładam nad to, jedynie danie ci rady jako przyjaciela. A chociażby porada nie nie skutkowałą, jednakże odsłonię przed tobą tajemnicę, którą obowiązany byłem zamilczeć, a którą teraz wyjawię przed tobą, nakazuje mi mój honor. Potem wolno ci będzie wybierać.

IZABELLA. (całuje go po rękach). Ojciec mój.

PEDRO. Niesłuszny wyrok infamii wygnał mnie z dóbr moich. Przez lat cztery zmuszony byłem tułać się i łamać z niedostatkiem. Czy wiesz kto wyrobił mi odwołanie banicji? Don Rodryg.

IZABELLA. Don Rodryg?

PEDRO. Gdy przed laty dwoma pojmany przez nikczemnych siepaczy don Sancha, szedłem już na plac egzekucji, za rozkazem jego, wiesz kto ocalił stojącego już przy pniu katowskim? Don Rodryg.

IZABELLA. Don Rodryg?

DON PEDRO. Temu już lat pięć, wyczerpawszy wszelkie sposoby wrócenia cię do zdrowia, gdy matka twoja i ja, złamani rozpaczą, oczekiwaliśmy od chwili do chwili twego ostatniego tchnienia, czy wiesz kto pojechał aż do Jeanu po owego lekarza arabskiego, który udał że przypadkowo tędy przejeżdża?

IZABELLA. Byłaby Don Rodryg?

PEDRO. Jemu ówczas zawdzięczałaś życie.

IZABELLA. Więc tylko jemu jednemu poświęcę je teraz. Boże sprawiedliwy! Biorę ciebie za świadka oporu mego i walk, które przeżyłam. Ze wszystkich stron uderzono na biedne serce moje!.. Już dłużej nie poddam. Przywołaj Rodryga.

PEDRO. Uszczęśliwiasz mnie Izabello. (wychodzi).

IZABELLA. Było zapisanem w niebiosach, że człowiek ten zostanie mężem moim. Niech się więc stanie! Nie będę niewdzięczną! ale przeniewierzę się Marsylii. O Marsyliu! gdybyś żył! Z niebios z których spoglądasz na mnie, czy będziesz zdolny obwinąć mnie? Ty przebaczyłyś mi, ale ja w chwili gdy ulegam wyrokowi losu, nie mogę przebaczyć sama sobie. (Otwierają się drzwi w głębi. Widać salę do której wchodzi goście weselni. Niektórzy z nich wstępują do pokoju Izabelli).

**Scena 6.***Izabella.—Rodryg.—Pedro.—Maria.—Martin. Goście.—Panie.*

RODRYG. Mogęż wierzyć Izabello takiemu szczęściu? Czyli zezwoliłabyś dobrowolnie, na oddanie mi swęj ręki?

IZABELLA. Zwyciężyłeś — zasłużyłeś na nią. Przyjmij ją. Chodźmy do kościoła.

PEDRO. Jeszcze się nie skończył termin dany Don Diegowi. Z zaczęciem niesporów w dniu dzisiejszym, skończy się czas sześcioletni, od wyjścia tego nieszczęśliwego młodzieńca z Teruelu. Aż do uderzenia dzwonów wieczornych nie mam prawa rozrządzać ręką méj córki. (do don Martina) Mój przyjacielu biedny, postanowiłem uprosić ciebie, abyś był obecny obrzędowi, jedynie dla tego że chcę mieć cię świadkiem sumiennego wypełnienia obietnicy.

MARTIN. Zbyt uczciwa skrupulatność. Nie zatrzymujcie się. Syn mój nie przedrze łona ziemi, ażeby stanąć ze skargą naprzeciw wam.

IZABELLA. (na stronie) Niestety!

PEDRO. Wierny przysiędze chcę pozostać — niechaj widzi z po za grobu jakimby znalazł mnie, gdyby był żył.

RODRYG. Żapewne życzy sobie Izabella towarzystwa matki. Może postać po nią do domu sędziego, gdzie opatruje ranę Jajme Celady.

MARJA. Raniony, dopiero co zaczął odzyskiwać przytomność. Jeżeli przed rozpoczęciem niesporów nie powróci moja pani i nie przyjdzie wprost do kościoła, to będzie znakiem że nie może być obecna przy ślubie. Tak kazała powiedzieć.

PEDRO. Więc będziemy czekać na nią w kościele. (do Martina) Jeżeli żałoba duszy twęj pozwoli ci towarzyszyć nam, racz przekonać się.

MARTIN. Uwolnij mnie od obecności przy tak przykrym dla mnie akcie.

PEDRO. Bądź pewien, że aż do chwili usłyszenia dzwonów na niespór — ręka Izabelli nie będzie oddaną Rodrygowi. Ci panowie zaświadczą, że oczekiwałem upływu ostatniej godziny terminu.

IZABELLA. (na stronie) Boże dobroci! czuwać nademną!

PEDRO. Pójdźmy. (wychodzą prócz Martina).

**Scena 7.**

DON MARTIN. Sądziłem do ostatka, że Izabella pozostanie wierniejszą pamięci kochanka. Próżna nadzieja! Cóż przyjdzie nędzemu trupowi mego syna, po stałości téj która go kochała? Jeżeli duchowi jego, potrzeba łez, to mu wystarczą moje. Synu mój. Ubóstwem mojem wydarłem tobie twe szczęście, wygnałem cię z ojczyzny, dozwoliłem ci skonać na obcej ziemi. Od wczoraj do dzisiaj czoło moje sędziwe pofałdowało się przedzgonnemi zmarszczkami. Niezadługo połączę się z moim synem.



**Scena 3.***Ciż.—Margarita.*

Działanie szybkie.

MARGARITA. Izabello! Don Pedro! Pan tu sam? Czy już poszli? Czy dawno?

MARTIN. Przed chwilą, powinna byłaś pani ich spotkać.

MARGARITA. Przebiegłam przez ogród.

MARTIN. Oczekują panią w kościele.

MARGARITA. Nie czekali na mnie do godziny oznaczonej. Co tylko nie odezwa się dzwony. Don Martinie — nie mogę towarzyszyć im — kościół bliźniętko. Biegnij pan, przeszkódź zaślubinom, bo ja nie mogę, a syn wasz żyje.

MARTIN. Żyje! Święci aniołowie! Żyje? Czy prawda? Nie łudziś że mnie, na Boga!

MARGARITA. Niewątpliwie — przybędzie niezwłocznie.

MARTIN. Do Teruelu?

MARGARITA. Wstąpił już zapewne w jego bramy.

MARTIN. Nie mogę wierzyć takiemu szczęściu.

MARGARITA. Poprzednia wieść udzielona nam była fałszywą — wypłynęła z kłamstwa i nienawiści. Dowiedziałam się o tym od Jaime Celady.

MARTIN. Syna sędziego, który był w niewoli?

MARGARITA. Był w Walencji. Syn twój powraca z bogactwami. Ocalił życie władcy maurytańskiemu. Zachorował posłał więc naprzód Jaimego, aby wam doniósł o powrocie swoim; lecz nieszczęśliwy posłaniec, został raniony o miłą żąd. Dopiero dziś przyniesiono go tutaj, i aż do tej chwili pozostawał bez przytomności.

MARTIN. Dosyć — nic więcej?

MARGARITA. Przestań, słuchaj. Nie zdradź mnie na Boga! nie powiadaj pan że ja go posłałam. Powiedz pan że tę wiadomość dostałeś w domu Selady. Panu nie zaszkodzi to zmyślenie, a mnie...

MARTIN. Obiecuję. Do widzenia! Syn mój żyje! (wybiega).

**Scena 9.**

MARGARITA (sama). Czy dobiegnie na czas? Jeszcze nieodezwały się dzwony, mające oznajmić chwilę zaślubin. Jeszcze czas! Jeżeli Bogu podoba się, nie wyjdzie na jaw, mój występki. Jakże mogłabym dopuścić aby Izabella, moja biedna Izabella poświęcała się dla mnie, skoro Marsylia żyje! Nie! do tego nie doszło okrucieństwo moje. Niechaj dowiedzą się o wszystkim, jeżeli tego potrzeba. Dla czego nie ma się zemścić Rodryg? Już nie mam męża, ani córki, ani imienia! Tylko imię miłośnicy! Boże mój! udziel mi sił do zniesienia tej hańby! Tak — ty mi ich udzielisz! Czuję Twą pomoc. Dozwoliłeś mi wyciągnąć truciznę pożerającą Celadę, a którą maurytanka napuściła swą strzałę. Strzała zadrasnęła za ledwie głowę jego. Pozostawał w omdleniu. Ach! opuszczają mnie siły, ale ty Boże nie opuszczaj mnie teraz. Co za wstyd, co za przekleństwo, czekają mnie! (słychać w oddali dzwony) Boże! Byłoby już

*Odbuka z Tygodnika Mód.*

zapóźno? Don Martin dobiegłże na czas? Ach! Zaspokójmy tak okropną niepewność. Przebac mi Boże mój! (wybiega).

**ZMIANA II.**

L a s.

**Scena 10.**

Marsylja i Adel (przywiązani do dwóch drzew) 6 bandytów z których jedni pilnują jeńców, inni wypróżniają ich tobołki — Marsylja słucha konwulsyjnie dzwonienia).

MARSYLIA. To złowieszcze dzwonienie pomnaża rozpacz moją. Gdy nie mogłem zdążyć na czas, przynajmniej że Jaime Celada uniknął tego wszystkiego. Izabella spodziewa się mnie a ja tutaj! Podli, zdrazieccy bandyci.

*Bandyta 14.* Jaktó zdrazieccy?

*2-gi.* Jaktó bandyci?

*1-y.* My jesteśmy lojalni żołnierze Infanta don Saneza.

*2-gi.* Prawego monarchy Arragonii.

*1-y.* (do Adela). Ty psie — gdzie schowałeś klejnoty?

MARSYLIA (na stronie). Boże mój! ukryj je przed niemi.

ADEL. Nie wiem o żadnych klejnotach, mam przy sobie tylko sztylet i list uwolnienia od mego monarchy.

*2-gi.* Pokażno sztylet — rękojeść miedziana. Nie mógłś przynajmniej zakać ją sobie ulać ze srebra?

ADEL. Zasługiwała na to: Ostrze jój nie dla krwi nikczemnej poświęconem zostało.

*1-y.* Ty będziesz pierwszym nędznikiem, której poświęcę ciebie jeżeli jasno nie wyśpiewasz.

ADEL. Lektyka i kolasa zdążają za nami o pół dnia drogi tam znajdują się.

*1-y.* Łotrze! lektyka nie przechowuje skarbów. Diamenty macie przy sobie. Poinformował nas o tem taki, który wie to dokładnie.

*3-ci.* (pokazuje małą skrzynkę w cielej skórce). Tu znajdują się jak mi się zdaje.

MARSYLIA. Niebo mścicielu!

*1-y Bandyta* (upuszcza sztylet Adela na ziemię — i biegnie zobaczyć klejnoty).

*Wszyscy bandyci.* Zobaczymy.

*1-y* (otwierając) Perły, brylanty.

*2-gi.* Djamenty zielone.

*3-ci.* Djamenty maurytańskie!

*2-gi.* Co za blask! przezroczyłość!

*1-y.* To skarby!

*Wszyscy.* Skarby — rozdzielmy — zabierzmy.

MARSYLIA. Nieszczęśni! czekajcie! słuchajcie!

*3-ci.* Czy masz drugą jeszcze skrzynkę?

*1-y.* Rozdzielmy. Kończmy co żywo. Znajdujemy się przy bramach Teruelu, opuściłem szeregi, aby wybiedz w tę stronę. Ech! wściekał się też to, sędzia Domingo Celada z powodu skaleczenia syna jego.

MARSYLIA. Wydrzyjcie mi życie skoro wydzieracie mi majątek. Cóż moje życie bez niego! Ach! wy nie wiecie.



1-y. Co? jego wartości? nie lękaj się byśmy je pomarnili.

MARSYLIA. Czy nie mam u was ani trochę wiary? Czy wiecie iż przemawia do was rycerz i szlachcic; jestem Marsylia.

1-y. Marsylia? Służyłeś don Pedrowi naprzeciw wojskom kościoła. Oto jeden rycerz okrągłego stołu albigeńczyk, który nam dobrym katolikiem, przeszkodził spalić we Francji z jaką setkę heretyków.

2-gi. Bo on tak kacarz, jak i tamten.

MARSYLIA. Dziś tylko, przez kilka godzin pozostających mi, te skarby uszczęśliwiłyby mnie. Nawet chociażby nie były w posiadaniu mojem. Jeżeli nie jesteście tygrysami, jeżeli tleje wśród was isierka ludzkości, wyświadcze mi łaskę, będę wam błogosławił. Będziecie dla mnie aniołami. Gdybyście chcieli uwierzyć prawdziwości słów moich. Gdyby jeden z was pobiegł do mieszkania Don Segury w Teruelu, gdyby okazał mu te klejnoty i rzekł: „Są one Marsyliego“. Nie nie żądam więcej nad to — potem niechaj ucieka z niemi.

Bandyci (śmieją się). Ach — ach — ach — ach!

1-y. Sliczne poselstwo, ażeby założono mu bezwłocznie bransoletki na ręce i nogi.

2-gi. Szaleniectwo!

MARSYLIA. Na wszystko co mam najświętszego zaklinam was.

2-gi. Cóż jest świętego dla odszczępienia albigena w towarzystwie poganina maurytańczyka?

MARSYLIA. Okrutni! nikczemni hultaje!

2-gi. Kapitan przytnie języka temu śmiarkowi.

MARSYLIA. Zamordujcie mnie, inaczej ani jeden z was nie ocali życia swojego. Nie wiecie, kogo to pochwyciliście zdradziecko, wy tchórze, wy nikczemniki. Przysięgam przez Boga żywego, że nie spocznę, jeżeli żyć będę, aż dopóki nie wytepię was wszystkich, co do jednego. Też same drzewa, będą unosić wasze ciała porabane na kawałki.

2-gi. Ptaszkowi temu, potrzeba szyi nadkręcić.

1-y. Zresztą jest on obrońcą albigenów.

2-gi. Ekskomunikowany.

3-ci. Zdrajca, który chciał uwieść nas, aby nas nagnać w sieć.

2-gi. Umieraj! (zwraca się do Marsyliego, aby go przeszył lancą, ale przy podniesieniu ręki — przeszywa go strzała) Zraniono mnie. Ratunku.

1-y i 3-ci. Strzała!

Inni. Co to? (słychać świst).

1-y. Sygnał straży wojskowej. Jesteśmy, odkryci.

Wszyscy. Ratujmy się. (uciekają — a ranny pada za sceną).

## Scena 11.

Marsylia. — Adel.

MARSYLIA. Któż ratuje nas? Nie widzę nikogo. Rozpacz przywróć mi teraz dawne moje olbrzymie siły. Czy mogą postronki te oprzeć się ręką, które targały kajdany?

ADEL. Nie mogę się daremnymi wysileniami. Węzeł którym mnie skępowano, folguje nieco — ale zbyt wolno.

MARSYLIA. Utracić skarby moje w chwili dosiężenia szczęścia.

ADEL. Widzę tego, który porwał skrzynkę. Opóźnia się poza towarzyszami.

MARSYLIA. Przekleństwo!

ADEL. Przeszywa go strzała na wskrós — raniony opiera się o drzewo. Jakiś młodzieniec wybiega ku niemu z pomocą. Ach! nie on mu wydiera skrzynkę. Zbójca upada. Rycerz uchodzi z nią. Już nie widzę nikogo.

MARSYLIA. Straciłem już ostatnią nadzieję. I pozostawili mi życie, gdy tymczasem w tej chwili Izabella — ach! mogą być sroższe męczarnie?

## Scena 12.

Ciż. — Zulima.

ZULIMA (za sceną). Niedostawało ci jeszcze jednej, to jest mnie wysłuchać.

MARSYLIA. Nieba! jestto głos nieszczęścia. Czy poznajesz go?

ADEL. Poznać go w sposób, w jaki śmierć poznać ofiarę swoją (wchodzi Zulima z łukiem i kołczanem).

MARSYLIA. Zulima tutaj?

ZULIMA. Czemu przerażasz się? Czy nie ma nic pomiędzy nami obojgiem, co by napowrót nas łączyło. Czyli nie byłeś wybawcą moim? Czy nie otworzyłeś mi drzwi straszego więzienia, obdarowawszy mnie złotem, życiem i wolnością? Życie majątek i złoto powracam ci. Nic naturalniejszego, nic sprawiedliwszego. Jesteś uwolniony. (Sztyletem Adela leżącym na ziemi, przerywa więzy Marsyliego).

ADEL. I ja także (sam uwalnia się).

MARSYLIA (podnosi szpadę swą na ziemi). Zulimo ton głosu twojego przeraża mnie, on z piekiel wybiega, a postępek twój jest anielski. Pierś moja sili się na okazanie ci wdzięczności swój, a jednak — czas ucieka... bądź zdrowa.

ZULIMA. A dokądże, po twój skarb? Oto go masz! Odbiłam go moją ręką. (Marsylia rzuca szpadę) Jam zmyśliła sygnał straży. Znałam go i on i ten kołczan ocaliły ciebie. Byłabym chętnie oddała życie me za twoje, bo ze śmiercią twoją umarłoby me szczęście.

MARSYLIA. Kobieto niepojęta! Widzisz mnie u nóg swoich (kłęka).

ZULIMA. Tryumfuję!.. Och! tak widzieć ciebie pożądałam. Jestem zadowolniona. Odbierz bogactwa twe (daje mu skrzynkę którą miała ukrytą). Biegnij wprost do Ternelu, pobiegnij do twój ukochanej — ale już nie do domu, który dawał jęj podziś dzień prztyłek, kroki swe kieruj, jeżeli masz ją widzieć szukaj ją w haremie Don Rodryga.

MARSYLIA. Przekleństwo! Co powiadasz! (upuszcza skrzynkę na ziemię. Adel podejmuje swój sztylet i ogląda go.)

ZULIMA. Przybywasz za późno. Ona nie może być twoją. Już oddała swą rękę.

MARSYLIA. Och pomsto niebios! Nie — próżno kłamiesz! Nie wiesz iż wysłałem posłańca do mojej oblubienicy.

ZULIMA. Nie wiesz, jak dłoń moja nigdy nie chybiająca, na czas zapieczętowała usta posłańcowi. Widziałam i mówiłam z Izabellą poniosłam jęj wieść o twoim zgonie, a bandytom wskazałam drogę którą powracać będziesz. Ja sama towarzysząc obrzę-

dowi ślubnemu Izabelli, przychodzę teraz, aby cię o nim zawiadomić.

MARSYLIA. Więc już zapóźno!

ZULIMA. Spójrz na mnie, a jeżeli możesz, to wątpij. Udzieliłeś mi życia dla wzgardzenia mną, uważając mnie za wroga bezsilnego. Och! bezrozumny człowieku! Czyliż nie powiedziałam ci w haremie, wybieraj między moją płomienną miłością lub dumną zemstą. Doznaj jej następstw.

MARSYLIA. (do siebie. Już zapóźno!

ZULIMA. Utraciłeś na zawsze twoją kochankę.

MARSYLIA. Na zawsze!

ZULIMA. Żyj teraz — żyj aby ją widzieć w objęciach Azagry. (Odchodzi na lewo. Adel śledzi ją wzrokiem. Zulimę widać potem wychodzącą na wzgórze które formuje głąb sceny. Idzie ścieżką schodzącą na prawo. Adel wtedy wychodzi na lewo za scenę, aby się spotkać ze Zulimą, ta zaś gdy Adel znikł, uważa z głębi dou Martina który idzie z dwoma służącymi. Ona zostaje skryta za skalą na wyżynie góry. Marsylia stoi chwil parę zadumany oparty o drzewo.)

### Scena 13.

*Martin. Marsylia. Dwaj słudzy.*

MARTIN. To on! Synu drogi! ukochany.

MARSYLIA. Ojcie! Czy już zapóźno? Pragnąłbym wątpić — czy nieszczęście moje już pewne?

MARTIN. Odpowiedzą ci te łzy, które ronię. Synu serdeczny! którego już od kolebki napiętnowało na czołe nieszczęście żelazem swoim zarżnięciem, ojciec twój zrozpaczony, żyjący tylko dla ujżenia ciebie, przyjmuje cię zboląły w objęcia swoje. Któż opóźnił twój powrót?

MARSYLIA. Niebo — piekło — sam nie wiem. Zbrodniarz! kobieta. Pozwól mi.

MARTIN. Sułtanka, czy ci bandyci którzy uciekli tchórzliwie przed sprawdzoną przezemnie strażą. Może poranili cię.

MARSYLIA. Niestety!

MARTIN. Może cię zrabowali.

MARSYLIA. Nic nie utraciłem — jedynie tylko nadzieję.

MARTIN. Losie nielitościwy! z zamknięciem fatalnych odgłosów dzwonu, upłynął termin ci dany.

MARSYLIA. Nikczemna rozgłosiła o mojej śmierci.

MARTIN. Wiesz o tem?

MARSYLIA. Od niej samój.

MARTIN. O zgrozo! Celado dopiero za odzyskaniem przytomności, zadał kłam tój zdradzieckiej pogłosce. Pobiegłem do kościoła miotany niespokojnością. Zabrzmienie dzwonów tamują mi krew i kroki. Dręczony niepewnością wpadam do świętego przybytku. Marsylia wraca! zawrzałem — i ujrzałem już oboje wstających od stóp kapłana. Upadam bezprzytomny. Już zostali zaślubieni. Utraciłeś dobro twoje. Jeszcze pozostali ci rodzice i rodzeństwo, którzy uczuwają los twój oplakany.

MARSYLIA. Rodzice — rodzeństwo! Czego ode mnie żądają — na cóż im jestem potrzebny. Przywożę skarby. Spójrz (potrąca skrzynkę nogą. Słudzy podnoszą — jakoteż inne rzeczy porozrzucane). Ujrzysz niezadługo, jedwabie, dywany, konie z rzędami,

rynsztunki. Ujrzysz tam i tarczę posiekaną, którą oglądała zdumiona Kastylja, którą oplakiwały fale Garonny a Palestyna uwieńczyła chwałą. Los obdzielił mnie bogactwami i chwałą. Dla ciebie zostawiam one. Cóż dla mnie pozostaje w ojczyźnie? Zgon nierozgłośny. Nie mam miłości! nie mam Izabelli, nie mam nic. Rodzice, rodzeństwo! któż zastąpi w sercu mem, moją ubóstwioną? Potęgi piekielne! którym podobało się Bogu oddać mnie na zabawę! Śmiecie się! Podołaliście aż do ostateczności wyprężyć nieszczęścia moje. Duchy potępione obchodźcie uroczyscie moją rozpacz. Piekła roztwórcie mi otchłanie swoje! Wściekłość gna mnie abym się w nie pograżył — i zemsta wskazuje mi drogę zbrodniczą. Gdzież jest ta zdrajczyni, która urągała niedoli mój i gwiazdzie okropnej mego przeznaczenia?

MARTIN. Pozostaw niebiosom sprawiedliwym, jój ukaranie. Przekleństwo ojca, którego piersi przepełnione żałością, ścigać ją będzie.

MARSYLIA. Przyobiecujesz słuszną karę niebios, które sprzyjały zbrodni, a stały się cnót wrogiem zawziętym. Nie! Niechaj niebo wróci wściekłości mojej tę niewiastę obrydlą, niech krew jój obryzga czoło, wstydem i hańbą. I cóż mi zaszkodzi nieślawy? Pożera mnie palająca, niepohamowana żądza krwi. Pragnę wytoczyć ją całym potokiem, ażeby nasycić się, a gdy już nie będę miał więcej krwi ludzkiej do przelania, ostrze moje utoczy ją z żył moich.

MARTIN. Synu wstrzymaj ten wybuch.

MARSYLIA. Kto mnie nazywa synem? Nie wiąża mnie już żadne węzły z ludźmi, ja żyję tylko dla zemsty. Zemsta! Przybądź tu, zdrajczyni! pójdz radować się moją boleścią. Jeżeli ziemia roztworzy łono swoje aby zachować ją i w niej zadam ci śmierć i ty pójdziesz za nią rywale uszczęśliwiony! Ty ją poprzedzisz. Ty byłeś pierwszą przyczyną nieszczęścia mego, i nieszczęście doznanych przez tę, którą nazywasz swoją. Och! ona nigdy nie będzie twoją! Nie! Przysięgam na nieba! Niechaj krew napiętnuje ślady mych kroków przed opuszczeniem Teruelu i Walencji. Zguba moja jest owocem mój nieprzeznaczenia. Wszystko składa się na podsycanie wściekłości mojej — ale nie będziesz pysznić się z tryumfu twojego: jeszcze nie zapóźno by z obojgiem skończyć.

MARTIN. Nieszczęsny co zamýślasz?

MARSYLIA. Zbrodnią pokruszyć więzy zbrodni. Jedno życie oddziela mnie od Izabelli. Wydrę to życie.

MARTIN. Synu.

MARSYLIA. On zginie.

MARTIN. Nie!

MARSYLIA. Niech przeklętem zostanie imię moje, jeżeli nie przeleję krwi zdradzieckiej mego wroga.

MARTIN. On ma znaczenie.

MARSYLIA. Jestem Marsylia.

MARTIN. Towarzyszą mu krewnych tysiące.

MARSYLIA. A mnie, wściekłość moja.

MARTIN. Winięś szanować związek.

MARSYLIA. Jest świętokradki, niesprawiedliwy.

MARTIN. Zawarty w obecności Boga.

MARSYLIA. Obecnością moją zostanie zdruzgotany (wybiega).

MARTIN. Litościwe nieba! Bieży na stracenie, jeżeli przezorna miłość moja nie uratuje go (wychodzi ze służbą).

### Scena 14.

Zulima — Adel (idący naprzeciw ku niéj)

ZULIMA. Idziesz uwolnić się od przeciwnika, ja pośpieszam zapobiedz niebezpieczeństwu, i jeżeli potrzeba, zapomnę o sobie, aby stać się tarczą dla niego.

ADEL. Niebu podoba się wstrzymać kroki twoje. Umieraj! (przebija ją sztyletem ona pada).

ZULIMA. Zdrajca! Do mnie! Zemsto — ach umieram! (kona).

ADEL. Twój małżonek i król ogłosił wyrok śmierci w Walencji na ciebie, i posłał mnie aбыm dopełnił wyroku na tobie.

Koniec aktu 4-ego.

## A K T V.

Mieszkanie Izabelli w domu Rodryga. — Wielkie okno bez krat w głębi, otwierające widok na ogród oświetlony księżycem. Światło w pokoju.

### Scena 1.

Margarita. — Izabella.

IZABELLA. Nie mów mi nic — dozwól odetchnąć przez tę chwilę w której oddalił się mąż mój. Bo on już jest moim mężem, nie prawdą matko? Tak — nagadano mi w kościele sama nie wiem co, rozkazano mi powtórzyć sama nie wiem jakie wyrazy, i oto już nie należę do siebie, już jestem cudzą i odtąd muszę być cudzą. Widzisz że to konieczność. Czy nie to chciałaś powiedzieć mi? Wiedziałam to tak jak i ty.

MARGARITA. Nie — nie to powiedzieć ci chciałam. Pragnęłam wynurzyć przed tobą żal mój, chcę abyś poznała co cierpi matka twoja. Ale jam nie matka... jam katem, który poświęcił ciebie bez miłosierdzia. Izabello! wierzaj mi. Zaslepiął mnie zły duch, — on to syczał mi złowieszczym szeptem te wyrazy: wstyd, bezczesć i kara. On bez wytechnienia obrazował oczom moim, widok gniewu i boleści męża, i on mi przywrócił dziś światło, abym ujrziała ogrom twój niedoli, dziś gdy już nie ma ratunku.

IZABELLA. A więc gdy nie ma ratunku, czemu wspominać o tem? Mówisz że cierpisz, wierzę — i ja cierpię także. Mówisz, że poświęciłaś mnie, mylisz się, to ja... sama poświęciłam siebie. Mówisz że żałujesz i ja po tysiąc krotnie żałuję, ale już zapóźno!

MARGARITA. Niestety! bodajbym była przyjęła cały ciężar zagrażającej mi niesławy, byleby pozostawić tobie wolny wybór.

IZABELLA. Wszyscy chcieli pozostawić mi wolność, wszyscy narzucili mi kajdany. Ale ty matko — nie mogłaś więcę uczynić. Dzięki ci matko moja! poświęcałaś się dla mnie, wiem o tem. Nie martw

się, nie uważaj na moje wyrazy, bo one tylko oznaką są otrętwiałości i pomieszania. Od dzisiejszego rana nie wiem co się ze mną dzieje. Wszłam do sali téj, aby poszukać kogoś, by zasięgnąć wieści i nie wiem sama kogo szukałam, ani o czém chciałam dowiedzieć się. W takim stanie, cóż mam czynić, jeżeli nie marzyć w gorączce? Lepiej iż marzyć będę sama, aniżeli abym dręczyła nadto ciebie. Ach! zdaje mi się że szukałam don Rodryga, chcąc go prosić, aby jutro wywiózł mnie na dwór króla Kastyllii; jak najdalej, zresztą... dokądkolwiek.

MARGARITA. Jakiś paż przyszedł do niego z oświadczeniem, że go jakiś rycerz szuka. Zostawiłam ich rozmawiających.

IZABELLA. Przypominam sobie — czy już przybył matko droga?

MARGARITA. Kto taki?

IZABELLA. I któżby, czy niewymieniłam go? Marsyllia.

MARGARITA. Przybył.

IZABELLA. Dla tego chciałam uciec z Teruelu, aby go nie widzieć. Chciałam się o tem wywieździeć. Jakżebym uradowała się gdybym go mogła zobaczyć — lecz prawdą matko, że nie powinnam?

MARGARITA. Nie, nie — ani go widzieć, ani słuchać, ani siebie samęj słuchać.

IZABELLA. (kładąc rękę na sercu) Tak — uczuвам tutaj głos, szepejący mi: On kocha ciebie, kochaj go — ale tu, (pokazuje na czoło) głos inny woła na mnie: Może on ciebie kochać, ale ty kochać go nie powinnaś. Czyli widziałas go? Jakże wygląda? Zaledwie wydarłszy się z uścisków śmierci a już odbył podróż tak nagłąco! Zapewne bardzo smutny. I chociażby nim nie był, opowiedz mu jaką ja jestem.

MARGARITA. Nie widziałam go jeszcze, ale pragnę ujrzeć aby go uspokoić, pocieszyć.

IZABELLA. Och tak! zobacz się z nim, zobacz jak najprędzej. Uproś go, niech ci opowie przygody swoje, a potem... Ale nie... nie powinnaś mi ich opowiadać. Czekaj.. Proszę cię nie mów mu, iż nie kocham jego rywala bo nie uwierzyłby temu, że dla Rodryga zapomniałam o nim, bo kosztowałoby go to zbyt drogo, lecz możesz mu powiedzieć, że namiętność moja osłabła. Jestto fałsz, ale to nic nie szkodzi. A że oddałam ucierpioną rękę Rodrygowi, to jest prawdą, wiesz dobrze o tem. Powiedz mu, niechaj szanuje stan mój, niechaj nie stara się ujrzeć moie, niech nie ściga mnie.

MARGARITA. Niech się przymusi zapomnieć o tobie.

IZABELLA. Nie! nie chcę, by zapominał o mnie. Dla czego ma wymazać mnie z pamięci swój? Mamże i ja zapomnieć o nim na przyszłość?

MARGARITA. Nie inaczej, zapomnisz o nim Izabello. Bóg który dzierży w dłoni swój serca, nagrodzi cnoty twoje, spokojność ducha. Bóg nakłoni się do prośb moich, i wszystkie umartwienia duszy twój przeniesie do serca mego... u mnie znajdą one usprawiedliwienie, a ty używać będziesz téj spokojności na którą zasłużyłaś. Nie wątp o tem, nie powtarzaj że wątpisz o tem, jeżeli chcesz ażebym żyła. Bądź zdrowa Izabello, zostawiam cię samą, jak chciałaś tego — lubo z przykrością, bo mi obecność

twoja, nigdy potrzebaiejszą nie była. Przy tobie, milkną zmartwienia moje, ponieważ trzyma je na wodzy twoja cnota, ale w oddaleniu od ciebie, nie mam nic, co by oparło się ich potędze. Córkę moją bądź zdrową (wychodzi).

## Scena 2.

IZABELLA. Zaczekaj matko a ujrysz jak szybko ustępuje burza z mój piersi, na wzburzonej fali wiodąc mnie ku mogilnej ciszy. Dla tego też, tylko ta ręka, szanuje własne życie. Żaden umierający nie przyspiesza chwili swego zgonu. Ale jeżeli ta nadzieja zgoru, omyli me cierpienia. Jeżeli bym uwierzyła, iż obraz przerażający który mi narysowało przecucie, zawiera moją przyszłość, ówczas któż zdołałby położyć granicę mój rozpacz? Żyć z człowiekiem, który przeszkodził mi zostać najszczęśliwszą ze wszystkich na ziemi. Och! łaska Boża nie jest tak skąpa. To pewna! Boże mój, wszak sprawiedliwość twoja już zaspokojona tyloma udręczeniami, wszak już zakończony czas próby dla mnie i dla Marsyliego. Zabłyśka nam jutrznia nagrody! Ty z ponad tronu, gdzie Wielkość Twoja unosi się ponad serafinami. spoglądasz debrośliwie na łyż nasze i na anioła śmierci, i nakazujesz mu, aby strząsknął to naczynie z gliny, które krępuje duszę. Ty otwierasz nam litościwe łono ojcowskie w której gości sama miłość. Ty nas przyceiskasz do niego, dłoń twoją zawieszasz na nas wieńce tryumfu i pozwalasz nam się kochać na zawsze. Ach! poznaję, zbliża się godzina moja ostatnia, dusza rwie się z upadającego ciała. Nie mogę się utrzymać.... Opuszczają mnie siły — już nie nie rozpoznaję dookoła siebie. (osuwając się na ławkę i zostając nieruchomą)

## Scena 3.

*Marsylia — Izabella.*

MARSYLIA. (wchodząc oknem) Nie świadomy miejscowości, nie wiem gdzie się znajduję. Jestże to komnata Izabelli? Nie! jej tu niema. Co widzę. kobieta.... Odpoczywa, nie przeszkadzajmy.

IZABELLA. Ach Boże! jakiś człowiek! Nieba! Czy nie on? to on! Gdyby nadeszli, gdyby go tu zastali. Będę miała odwagę uciec?

MARSYLIA. Serce mówi mi że Izabella jest tutaj. obraca się poznaje ją — zbliża się z roztwartymi rękoma Izabella usuwa się) Ubóstwiona istoto!

IZABELLA. Marsylie!

MARSYLIA. Drogi skarbie!

IZABELLA. Wstrzymaj się. Zkąd ośmielasz się przychodzić tutaj? Gdyby widziano cię wchodzącego, po co przyszedłeś? dla czego?

MARSYLIA. Dla czego? na Boga! zapomniałem... Lecz czy nie dość, że dla tego wraca Marsylia do Izabelli swój, aby poić się mógł rozkoszą patrzenia na nią. Och! jakże piękną przedstawiasz się oczom moim. Nigdy nie widziałem cię tak cudną, tak zachwycającą. Jednakże sprawiają mi te błyskotki, te drogocne kamienie, przykreść niewypowiedzianą. Odrzucić je moja droga. Niechaj skromny biały kwiat, wyhodowany w ogrodzie moim, będzie ozdobą twoją

*Odbitka Tygodnika Mód.*

anielskiej twarzy, miłość moja zasmuca się widokiem tyłu bogactw.

IZABELLA (na stronie). Umysł jego trawi gorączka jaka miotła mną dawniej.

MARSYLIA. Obawa moja uleciała. Spostrzegam na ręce twojej znak twojej wierności. Spodziewałaś się mnie i chciałaś olśnić me oczy. Ten pierścień jest klejnotem uszczęśliwiającym mnie (ujmuje ją za rękę, aby ją ucałować). To nie mój! Ach to okropnie Porusza się wąż, aby wyszarpać mi serce.

IZABELLA. Czy nie domyślasz się co ten strój oznacza na który patrzysz bez wstępu? To znaczy nasz rozdział... rozumiesz?

MARSYLIA. Potęgo niebios!.. Straszliwa prawda!

IZABELLA. Jestem zamężna.

MARSYLIA. Jak mogłaś sprzedać rękę swoją?

IZABELLA. Don Diego....

MARSYLIA. Lecz jak mogłaś nie odmówić? Bojaźń i gwałt, wydarły mimowolnie z ust twoich wyraz nieszczęście... przyrzeczenie. Nie prawdaż Izabello.

IZABELLA. Wie niebo tak jak i ty wiesz, ile kochałam ciebie. Z tem wszystkiem, czy uwierzysz Marsyliu, poszłam dobrowolnie do ołtarza.

MARSYLIA. Czy to Izabellę słyszysz mówiącą? Czy wiesz, że siebie sama oskarżasz o zdradę, o przeniewierstwo?

IZABELLA. Jam wiarogonna — Wielki Boże!

MARSYLIA. Nie — nie wierzę temu. Okropna nieufność! Usta moje rzuciły ci słowa nieufności, to była tylko boleść — tylko zadziwienie.. powiedz, powiedz mi tylko że mnie kochasz.

IZABELLA. Mój obowiązek....

MARSYLIA. Jest kochać mnie.

IZABELLA. Mam męża.

MARSYLIA. Małżeństwo twoje obraża wiarę i Boga. Ręka twoja należy do mnie. Mnie ją oddała miłość, i przybyłem wydrzeć ją przywłaścicielowi.

IZABELLA. Zapominasz gdzie się znajdujesz. Te ściany mogą stać się grobem dla ciebie.

MARSYLIA. Nie lękaj się ani o siebie ani o mnie, nie jestem sam, towarzyszą mi, miecz mój i męstwo. Powiedz Izabello, czy uległaś przemocy czy słabości swojej, czy potędzą młodego bogactwa? Wyznaj bądź otwartą, będę pobłażający. Czyli już wytłafa się wierność w sercu twojem, którą mi dawniej okazywałaś? Odpowiedz przynajmniej, żądam od ciebie miłości lub zapomnienia. Stanów o życiu mojem lub o śmierci, rzeknij: śmierć czy życie, a każde z nich jako od ciebie idące, będzie dla mnie pożądane.

IZABELLA. Cóż ci mogę powiedzieć? Bóg tak chciał. Termin upłynął doniesiono mi o śmierci twojej — uwierzyłam.

MARSYLIA. A przyrzeczenia twoje? kiedy wyjeżdżałem coż powiedziałaś mi przy rozłączeniu? Jedź, czeka na ciebie wierna Izabella. Albo tobie rękę moją oddadzą rodzice, albo poświęcę się Bogu.

IZABELLA. Gdyby wzrok twój mógł przejrzyć serce moje, gdybyś znał skrytą przyczynę tego związku! gdybyś wiedział ile umartwień kosztowało mnie, zanim zmusiłam się do wprzęgnięcia w to jarzmo.... los mój wydałby się tobie pewnie godnym pożalowania. Izabella którą nazywałaś swoją nie mogła



należę do ciebie, jak mniemałeś. Kiedy oddawałam rękę Rodrygowi, rozdzielały nas na zawsze przeszkody niezwalczone, których przemódz siła ludzka nie zdołałaby.

NARSYLIA. Przeszkody — tajemnice — jakie? powiedz.

IZABELLA. Nigdy.

MARSYLIA. Czy tak usprawiedliwiasz się? Wyznaj.

IZABELLA. Niepodobna — nie podobna.

MARSYLIA. Odkądże to tajemnica przed kochankiem, znalazła przystęp do twego serca?

IZABELLA. O matko.

MARSYLIA. Nie odpowiadasz?

IZABELLA. Szanuj tajemnicę kobiety. Przypuśćmy, że otrzymałeś wiadomość o mojej śmierci, gdzie na krańcu Afryki lub Azji — przypuść, że tam głos pewien uzbrojony w najpotężniejsze i uwodzące czary, głos, którego brzmienie przejmuję, że natura, wdzięki i wszystko cokolwiek może uzyskać echo w twem sercu, rzucając się do stóp twych, żądało poświęcenia niesłychanego, poświęcenia, życia, dla ocalenia honoru... czyżbyś w takim razie, równiej nie popełnił zdrady?

MARSYLIA. Nigdy! Kto kocha prawdziwie, nie zważa na nic. Kochanek stały, poświęca wszystko na ołtarzu bóstwa które czci. Czy sądzisz, że wciąż twój nieobecności; serce moje niezłomne, nie stoczyło walk niesłychanych? Nie widziałeś tej kobiety która poniosła ci wieść, niestety! kłamliwą o moim zgonie. Ta kobieta usiłowała mnie oczarować... ofiarowała się przejść na wiarę moją, i dzielić ze mną losy, a jednak wzgardziłem nią. Groziła mi zemstą i torturami, lecz ani pochlebstwa ani groźby ani krzyki rozpacz, któremi starała się zawładnąć mną, upadającym pod ciężarem rozpacz, nie zdołały wymódl, aby zachwiała się męzka niezłomność mój miłości. Twój za życia, chciałem pozostać twoim i w grobie. Nadaremnie chciałaś porównywać mnie ze sobą. Widzę z boleścią, z okropną boleścią, że dusza moja już roztrząskana, że miłość moja oszukiwała się, sądząc iż serce twoje, podobne jest do mojego.

IZABELLA. A więc Marsylio, dla czego zaprzeczać? Powinnaś wyznać, że przewiniłam sama. Nie nie zdoła mnie usprawiedliwić w oczach twoich. Wszystko oskarża mnie i woła o potępienie. Wybacz Marsylio. Jeżeli byłam zdolną złamać wiarę zaprzysiężoną tobie, ty który nigdy nie przestałeś mnie kochać, ty mi przebaczysz. Na klęczkach i łzami oblań, twoja Izabella zaklina cię o przebaczenie, o litość! Oby mogła zasłużyć na tę łaskę, bo widzimy się po raz ostatni. Oby ją mogła unieść przed oblicze wszechmocne Najwyższego Sędziego, który rozkazuje mi strasznym głosem, uzyskać ją od ciebie, i okazać przed wieczystym trybunałem. Na Boga! Marsylio, nie wyjdiesz ztąd, nie przebaczywszy mi pierwój (klęka).

MARSYLIA. Ty u nóg moich? Wyznajesz się winną. Cóż przyjdzie ci z tego Izabello? Ty mnie oszukujesz. Płacz ten nieutulony zadaje kłamstwo temu co czynisz, o co się ustami oskarżasz. To nie jest płacz skruchy. To łyż miłości czystej, nieskalanej, wierniej tak jak i moja. Och! światło moich oczu!

Zaprzestań ronić łzy. Przestań... Przestań... Przywróć mi życie słowem tylko jednym.

IZABELLA. Przrzekniesz posłuszeństwo jedynej mój prośbie?

MARSYLIA. Niewdzięczna! Kiedyż sprzeciwiłem się twój woli? Czyli moja wola nie jest twoją? Rozządzaj, mów:

IZABELLA. Przysięgnij!

MARSYLIA. Przysięgam!

IZABELLA. Dobrze więc. Kocham cię. Oddal się Marsylio. Okrutna! Lękałaś się aby takie szczęście nie zabiło mnie u nóg twoich, żeby słodycz jego nie została pomieszana z jadem boleści. Jakże skojarzyłaś te dwa nieprzyjacielskie wyobrażenia, miłości i wygnania?

IZABELLA. Wiesz, nie należę do siebie. Należę do człowieka, który honor swój mnie powierzył, powinienam więc pozostać mu wierna. Tak rozkazuje mi Bóg!. Marsylio, podobni caota i miłość nasza równie była cnotliwą. Dla czego żadasz zedrzyć z niej tę uroczą szatę? Jeżeli potrzeba wyznać że cię ubóstwiam, że obraz twój odbity w sercu mojem przechowam na zawsze — to powtarzam ci to i zaprzysięgam. Lecz uchodź niezwłocznie. Uwolnij mnie od siebie, bądź wielkoduszny. Uchodź... uchodź...

MARSYLIA. Nie kończ! dosyć! Wymagasz mego oddalenia, to znaczy śmierci. Jakże żyć mogę bez nadziei? Nie lękaj się abym oskarżał ciebie o mój zgon. Umrę z weselem, skoro mi rozkazujesz. Dozwól tylko niechaj w nagrodę, raz tylko usta moje dotkną się twego białego czoła...

IZABELLA. Niepodobna Marsylio! jestem zamężna.

MARSYLIA. To moja prośba ostatnia.

IZABELLA. Miej litość nad kobietą co cię kocha...

MARSYLIA. Och raczej ty miej ją nademną. Uścisk dany kochance od najdroższego kochanka, będzie tak nieskażony jak moja wierność, tak czysty jak czoło twoje.

IZABELLA. Nie przybliżaj się.

MARSYLIA. Naprawdę unikasz mnie.

IZABELLA. Boże przedwieczny. Ocal mnie! Marsylio wstrzymaj się, albo zawołam Rodryga.

MARSYLIA. Wołaj go — wołaj wiarołomna, ale nie myśl, że usłyszysz głos twój i przybieży na twój krzyk. Nie nasycą także próżności swojej, słuchaniem z estrady pochlebnych powinszowań ślubnych. O nie! Daleko poza murami, wije się w śmiertelnej boleści, kąpiąc się we krwi własnej.

IZABELLA. Och!... Zamordowałeś go?

MARSYLIA. Zdrajczyń! Płaczesz po nim. O wściekłości! Gdybym przypuścił to, któżby go ocalił?

IZABELLA. Żyje on?

MARSYLIA. Żyje — dzięki mój szalonej łaskawości. Zaledwie skrzyżowaliśmy szpady, już moja dosięgnęła go, i w chwilę potem — dumny, upadł na kolana zostawiwszy miecz swój w mój mocy. Och! przekłętą niech będzie moja zrzeczność orężna. Przekłętą człowiek, zasiewający cnoty, gdy z nich ma zbierać żniwo niewdzięczności. Precz z ludzkością! pragnę zbrodni. Okrucieństwo twoje, przynagla mnie zostać okrutnym, i na tobie dokonać tego muszę. Natychmiast wyjdź ze mną z tego domu.

IZABELLA. Nie — nie.



MARSYLIA. Pójdź ze mną.

IZABELLA. Nieszczęśliwy.

MARSYLIA. Milcz — nie słucham niczego.

IZABELLA. Odważyłabyś się?

MARSYLIA. Na wszystko. Tak to konieczne...

Czy wiesz nieszczęsna, że tu chodzi o życie twoje. Czy wiesz, co wyrzekł ten nędznik którego oplakujesz? co rzekł upadając w pojedynku: Tryumfujesz, ale posiadam sposób zemśczenia się.

IZABELLA. (przerazona) Co wyrzekł? co?

MARSYLIA. Zemścę się na don Pedrze, Małgorzacie i Izabelli. Broń moja wszystkich ich zarówno dosięgnie!

IZABELLA. Boże! Przeszkodźmy, biegnijmy, gdzie on się znajduje? powiedz?

MARSYLIA. Nie bój się wierna małżonko. Już uprzedziłem o tem twojego ojca, i pozostanę przy jego boku.

IZABELLA. (w najwyższej rozpacz) Zgubiłeś mnie. Nieszczęście ściga twe kroki.

MARSYLIA. Nie bój się niczego, u twego ojca jest teraz sędzia.

IZABELLA. Dla tego właśnie oddałam mu rękę moją.

MARSYLIA. Niegodziwa!

IZABELLA. Cożes ty uczynił. Ach! moja matka!

MARSYLIA. Bezwstydna! wyznajesz zdradę. I mówisz że mnie kochała!

IZABELLA. Człowieku przekleństwa! abyś był nigdy nie oglądał murów Teruelu. Okrutny! jeszcze mieszkasz domagać się miłości od kobiety przez ciebie rozpaczonej. Nienawidzę ciebie!

MARSYLIA. Och Boże! onaż to wyrzekła? (upada ławkę jakby rażony piorunem) To już za wiele!

IZABELLA. Co widzę! On mdleje. Przebac mi chwilę uniesienia.

MARSYLIA. Izabella nienawidzi mnie... Oszukiwałam mnie (pokazuje na serce) Czuję tu, co za ból. Ubóstwiam ją a ona nienawidzi mnie... ona zabija mnie.

(umiera)

IZABELLA. Matko moja! Miłosierdzia. Marsylio! Nieba! Serce ustało, czoło zastygło.

## Scena 4 i ostatnia

*Ciż, Małgorzata, potem Don Pedro — i słudzy płci obojęd, w końcu Rodryg.*

MARGARITA. Co się stało? co za hałas — Izabello. IZABELLA. Ratuj go, ocal dla mnie.

MARGARITA. Co widzę. Jestże tak mocno zraniony? Gdy nakoniec Azagra położył koniec méj niespokojności, zwracając mi list ostatni — spotykam tu.. (wchodzi Pedro — i ludzie)

PEDRO. Marsylia?

IZABELLA. (do ojca) To on! Nie obwiniaj mnie (do Margarity) życie jego...

MARGARITA. (biorąc Marsylię za rękę) Już uleciało ztąd... Nieszczęśliwy.

IZABELLA. Umarł?

*Wszyscy.* Umarł!

IZABELLA. Zabiłam go. Chciałam oddalić go. Powiedziałam że go nienawidzę — rozpacz — przeżalenie. Jam skłamała przed nim.

PEDRO. Pójdź córko moja!

IZABELLA. (coraz słabiej) Przecież lituje się niebo nademną. Wieczność otwiera już wrota swoje przedemną — świat cały ucieka z przed oczu moich. Jeden grób podzielił z trupem, i trumna moja przy boku jego Marsylio! kochałam ciebie — zawsze cię kochałam. Ty mnie oplakiwałeś cudzą, a ja umieram twoją. (Rzuca się na ciało Marsyiego — i umiera obejmując go na klęczkach).

DON RODRYG. (wchodzi prowadzony przez Marję z przewiazaną ręką — wybladły, słabym głosem). Moja żono! Izabello.

MARGARITA. (załamując ręce) Już nie żyje.

K O N I E C.